

V-0100/3

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 87

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, $\frac{13}{25}$ maja 1861.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Henryk Dmóchowski (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Do spiewaka Lilli Wenedy, poezya. — Komunikacye, przemysł i handel. — Wszelchnica wrocławska (z drzeworytu). — Grzegorz i Kajetan Widortowie (z drzeworytu). — Wesele włościańskie na Poberezu (z drzeworytu). — Dwóch Włochów, poezya. — Zamek w Bendzinie (z drzeworytu). — Szachy. — Rebus. — Kronika sztuk pięknych, (dokończenie). — Na placówce, wspomnienie żołnierskie przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Doniesienia.

Henryk Dmóchowski.

Henryk Aloizy Dmóchowski, znakomity, a w ostatnim dziesięciu lat bardzo wzięty i sławiony snycerz w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, urodził się w Wilnie 14 października 1810 roku, z ojca Michała, pisarza kommissyi sądowej edukacyjnej wileńskiej, i Anny Deslevert, córki majora dawniej artylerji litewskiej. Skończywszy początkowe nauki w gimnazjum wileńskim, pod przewodnictwem Aleksandra Mickiewicza, brata rodzinnego poety Adama, a później dziekana w uniwersytecie charkowskim, uczył się następnie prawa w uniwersytecie wileńskim i otrzymał stopnie naukowe. Ale obok tego najwięcej zajmowały go rysunek i wyrabianie z gipsu rozmaitych posazków, tak iż w chwilach wolnych od nauki ciągle się tym zatrudniał, i to najmiłszą było jego rozrywką. Uczenie się także obcych języków łatwo mu przychodziło. W kilka lat poznał dostatecznie, o ile tego w kraju można było dokazać, prócz francuzkiego, języki: niemiecki, angielski i włoski.

Zostawszy tułaczem, gdy mu umiejętność prawa nie mogła dać chleba, znalazł prędko i sposób utrzymania się, i przytém niepospolitą sławę u tych cudzoziemców, którzy przed innymi na świecie słyną ze swego egoizmu, u Anglo-Amerykanów. Znajomość obcych języków wielce mu także stała się pomocną do ułatwienia stosunków tak w Europie, jako i w Ameryce. W Paryżu to nabył on gruntownej nauki rzeźbiarstwa i rozwinął talent wrodzony, chociaż i Włochy nie były mu obce.

Pierwszą próbę swojego talentu okazał Dmóchowski, wykonywając w r. 1849 piękny pomnik marmurowy w w. księstwie poznańskim, z polecenia hrabiego Mielżyńskiego. Zmuszony opuścić te strony, udał się w roku 1854 do Londynu. Ale w tej stolicy Wiel-

kiej Brytanii, gdy chciał szukać praktyki w swojej sztuce, nastroczyła mu się sposobność udania się do New-Yorku, gdzie mu obiecywano wielkie roboty i zyski.

Stanawszy na drugiej stronie Atlantyku, Filadelfią obrał sobie na stałe mieszkanie i tam osiadł we wrześniu roku 1852, razem z młodą żoną swoją, którą pojął nieco pierwej. Założywszy w tém wielkiem mieście pracownię snycerską, wkrótce dał się poznać tamtejszym mieszkańcom pod imieniem *Henry D. Saunders*, jako rzeźbiarz wielkiego talentu. Powołany po-

wzrosła jego sława w stolicy Stanów Zjednoczonych. Dano Dmóchowskiemu pokój w kapitolium na pracownię i zarzucono go ważnemi robotami. Wtenczas to popiersia Jeffersona, ówczesnego prezydenta Buchanana, synowicy jego i wielu innych, wyszły z pod dłuta polskiego snycerza.

Lecz te wszystkie powodzenia nie były zdolne osłabić w sercu artysty ciężkiego smutku po stracie żony i dwojga dzieci, które mu śmierć wydarła w r. 1857. W smętnej myśli jego ciągle rysował się obraz tych drogich istot, niedawno stanowiących najwyższe jego szczęście. Powróciwszy do Filadelfii, rzucił wszystkie roboty i dłuto swoje obrócił jedynie na wylanie w marmur uczuć swoich żalu i boleści po stracie żony, ubóstwianej niemal od niego.

W rok potem wielbiciele Henryka i sprzyjający mu mieszkańcy Filadelfii, oglądali w pracowni jego wspaniały pomnik z białego marmuru, wyobrażający zmarłą żonę z dwojgiem niemowląt, w naturalnej postaci. Nieco później publiczność tego miasta tłumnie zgromadzała się na wielkim cmentarzu tamtejszym, gdzie w cichej i pięknej ustroni, wśród ciemnych cyprysów, na grobie Heleny, podziwiała we wspaniałym posagu jej piękne oblicze, oddając cześć talentowi i sercu artysty.

I ten pomnik jest dotąd arcydziełem Henryka Dmóchowskiego, który przeniósłszy się później na mieszkanie do Washingtonu, żyje tam dotąd, zajęty pracą i nadzieją rychłego odwiedzenia ziemi rodzinnej. ⁽²⁾
Mich. Bal.

⁽¹⁾ Rysunek tego pomnika wkrótce czytelnikom naszym przedstawimy w drzeworycie. (Przyp. red.)

⁽²⁾ Nadzieja ta w części już się spełniła; Dmóchowski bowiem od pewnego czasu przebywa w Poznaniu, gdzie świeżo wykonał popiersie niedawno zmarłego Tytusa hr. Działyńskiego. (Przyp. red.)



HENRYK DMÓCHOWSKI. (Rysował Polkowski.)

Kronika tygodniowa.

tém do Washingtonu, miał sobie poleconą robotę pomnika dla Puławskiego, poległego w obronie miasta Savannah. ⁽¹⁾ Po wykonaniu tego najpomysłniej w r. 1858,

Maj w tym roku szarą dla nas pokrył się oponą, roziskrzył się mrozami w porankach, spruszył śniegiem mierzwięte jeszcze pączki drzew i kwiecie

w zawiązkach, rozpalili ogień po piecach i kominach, dla futer wyrobili przedłużenie terminu, zagroził urodzajom i przeszkodził używać wszystkich tych przyjemności wiosennych, które bywają zwykle u nas przywilejami pory obecnej. Maj mrozi, maj ziębi, maj wieje. Nawet Zielone świątki, ów najpiękniejszy klejnot z korony świąt dorocznych, ta prawdziwie wiosenna uroczystość, zaprzeczyli w tym roku nazwie swojej, bo niebardzo zielono jakoś świat się wystroił na ich powitanie. Dawno już, dawno laszek bieleński nie mieścił w sobie tak szczupłej liczby gości.

Może już owe paryżskie uciechy, owe przejażdżki modne, owe stroje świetne i kosztowne przestały być dla nas pożądanym wzorem, który dawniej tak chętnie naśladowaliśmy. Ciężar to był niemały dla naszych budżetów domowych, każda bowiem taka uroczystość wprawiała w ruch ciągle nowe potrzeby, ciągle nowe wymagania, ciągle nowe zbytki, ciągle nowe wydatki. Podziwiano tam świetny ekwipaż nowo sprawiony, nowego kroju kapelusze, suknię będącą najświeższym dziełem paryżskich wieszczek mody. Ale co nam po tej świetności, co nam po tym stroju, co nam po tych wieszczkach obdzierających nas bez miłosierdzia? Dzięki ci, o Warszawo! żeś się opatrzyła w sam czas, żeś zmiarkowała iż nie zbytkowym potrzebom przedewszystkiem powinnaś zaradzić. O! przywoicieli i pięknie ci stołownie, kiedy przy codziennych pracach w skromną przyodziana sukienkę, unikasz gwaru, chronisz się wielkomiejskiego zbytku, który wysysał twoje zasoby i niszczył żywotne siły. Pięknie ci i strojnie tak, a żeby się lepiej o tej prawdzie przekonać, posłuchaj stariej historii o sultance Roksolanie, która, jak wiadomo każdemu, była Polką z pochodzenia, a panując samowładnie nad sercem Solimana IIgo, miała w swoim czasie wpływ na sprawy europejskie wywierała.

Owóż, podług opisów współczesnych, była ona bardzo piękną, ale miała wielką wadę, wadę wspólną wszystkim kobietom zrodzonym czy wychowanym na Wschodzie, kochała się bardzo w pachnidłach, kosmetykach i wszelkich przyprawach, które twarzy sztucznej świeżości i delikatności przydają. Apartament jej w pałacu sultanskim, był prawdziwym bazarem tych wszystkich przyborów, w które Wschód tak obfituje.

Pewnego razu Soliman IIgi zjawił się niespodziewanie w tym przybytku wykuintu i bogactwa. Roksolana, nie spodziewając się jego przybycia, używała popołudniowego spoczynku, leżąc na miękkich poduszkach, perskim, puszystym pokrytych kobiercem. Sultana wszedł na palcach, nakazując gestem milczenie gronu różnorodnych niewolnic, zgromadzonych około swojej pani, i umoczywszy gąbkę w woniejącej wodzie różanej, którą eunuch na złotej miednicy niósł za nim, zbliżył się do śpiącej Roksolany i szybkim poruszeniem poprowadził tę gąbkę po całej jej twarzy. I jakby pod dotknięciem różeczki czarnoksiężkiej, zniknął w jednej chwili róż okrywający policzki, zniknęło bielidło służące mu za tło, rozpułnął się sztuczny karmin ust, ustępując miejsca barwie ich naturalnej, jak również czarna farba podnosząca wyraz i blask oczów. Rozbudzona nagle Roksolana, widząc przed sobą Solimana z gąbką w ręku, porwała do ręki misterną robotę zwierciadelko w złotych ramach, wiszące na ścianie ponad jej łóżem, i zobaczywszy tę tak nagłą a strasliwą zmianę w swoich rysach, zakryła twarz rękoma i zaczęła płakać.

— Czegóż płaczesz? zapytał sultan, czyż cię tak obecność moja zastrasza? Wszakże niezwykłaś w ten sposób mnie przyjmować.

— O padyszachu! zawołała Roksolana, padając na kolana. Jakżeż niemało rozpaczam, kiedy w jednej chwili znikł cały urok, za pomocą którego chciałam panować nad twoim sercem. Czyliż teraz będziesz chciał, czyliż będziesz mógł mnie kochać?

— Nie trwóż się, sultanko, odrzekł Soliman; dotychczas widziałem tylko w tobie sztukę, i kochałem ją. O ileż więcej kochać teraz będę samą naturę, której ozdoby, jakie chciałaś jej dodawać, ujmowały tylko wdzięku.

I stały się prawdą jego słowa, bo wkrótce potem Roksolana zyskała honorowy przydomek *Kuran* (roz-weselająca serce) i uznana została za najpięrszą z żon Solimanowych.

Niechaj opowiadanie to posłuży za przykład i naukę tym, co piękną swą naturę kładą sztucznymi wy-

mysłami i ozdobami. Czyliż nie bywały chwile, w których Warszawa podobną się zdawała do owej Roksolany, używającej zdaleka sprowadzonych malowideł i kosmetyków?

O miasto rodzinne nasze! tyś tak piękne w prawdzie swojej! Po co ci więc oblekać było czoło fałszem i kłamstwem?

W Grodzisku znajduje się od pewnego czasu dziwnego rodzaju pustelnica. Jest to sędziwa już kobieta, która obrała sobie siedlisko w lasku pod Grodziskiem, i mieszka w starym, spróchniałym dębnie. Łatwo się domyślić, że w tym lokalu, który sobie, za dziwnym idąc natchnieniem, obrała pustelnica, nie ma miejsca ani na stoliki, ani na stołek, ani na łóżę, ani na żaden jakibądź inny sprzęt. Obywa się więc ona bez tego wszystkiego, i dobrze jej z tem jakoś. Żyje z jałmużną, bo wiesniacy okoliczni dość często ją odwiedzają. Wychodzi ona też czasami ze swojego pomieszkania, i bywa nawet w niektórych chatkach, gdzie przynosi zioła, daje rady, odmawia modlitwy. Twierdzi że miewa jakieś widzenia, że jej się często tak we śnie jak i na jawie święci i anieli pańscy ukazują. Ci którzy ją widzieli powiadają, że znać na niej ślady dawnej piękności, a nawet pewnego wykształcenia, o czem jednak trudno sądzić, bo zdaje się czasami że wiele wie, czasami zaś zupełnie mówi od rzeczy. Najpodobniejszem jednak jest do prawdy, że cierpi ona od czasu do czasu jakieś napady obłąkania. Musiała zapewne kiedyś przechodzić przez wielkie nieszczęścia. Łatwo się domyślić, że w spróchniałym dębnie, jaki sobie obrała za pomieszkanie, położyć jej się trudno. Noc więc przepędza siedząc i tak śpi. Wstaje razem ze słońcem i chodząc po lesie odmawia modlitwy. Rozmawia z ptaszkami, z drzewami; rozumiałe dla niej są, jak sama utrzymuje, dźwięki natury. Na wszelkie zmiany powietrza zahartowaną jest, co łatwo pojąć, bo w mieszkaniu jej nie ma ani drzwi, ani okien. Obiecano nam o niej więcej szczegółów, które skoro otrzymamy, podzielimy się niemi z czytelnikami.

Instytut sztucznych wód mineralnych w ogrodzie Krasiniskich otrzymał nowego dyrektora. Jest nim p. Trzebiecki, wykładający chemię w warszawskiej akademii medycznej, w miejsce zmarłego profesora Lesińskiego. Samo już to dowodzi, że współka właścicieli wód mineralnych sztucznych w ogrodzie Krasiniskich, najlepszy jak tylko można zrobiła wybór; bo któż mógł właściwie zastąpić nieodżałowanej pamięci Lesińskiego w tem tak ważnym zajęciu, jak ten, co objął po nim trudny obowiązek kształcenia młodzieży, poświęcającej się naukom medycznym? Nowy dyrektor z wielką energią zabrał się do porządkowania instytutu i niemało tam zamierza zaprowadzić ulepszeń, zwłaszcza w tem wszystkiem, co się tyczy dogodności pijących wody mineralne i starannego wyrobu tychże wód.

Kilka razy już wspomnieliśmy, że brak roboty stał się w ostatnich czasach dotkliwą klęską dla ubogich robotników warszawskich, i że niektórzy z nich, nie mogąc znaleźć żadnego zatrudnienia, zostają w zupełnym niedostatku. Owóż z zadowoleniem przychodzi nam donieść, że obywatele kilku bliższych Warszawy powiatów wpadli na szczęśliwą myśl udzielenia tym biedakom wsparcia w zbożu, którego znaczne partje zostały już zamówione, co przynajmniej ubogim robotnikom chleb na pewien czas zapewni. Wsparcia te nadesłane zostaną na ręce jednego ze znanych i szanowanych powszechnie kapłanów warszawskich, który w rozdzielaniu ich stosownie będzie umiał uczynić wybór. Oby ten dobry przykład mógł być naśladowanym i przez obywateli innych powiatów, którym, nie wątpimy, na zacnych chęciach nie zbywa.

Z drugiej strony Towarzystwo dobroczynności stara się wszelkimi sposobami o zastąpienie niektórych źródeł dochodowych, jakich pozbawione zostało na pewien czas, skutkiem zbiegu okoliczności. Dla dopełnienia więc tego celu, zarządzone zostały kwesty po świątyniach pańskich, które pomyślnie zapewne wydadzą rezultaty. Towarzystwo umyśliło również urządzić na wielką stopę wykonanie religijno-muzycznego dzieła, i poczynione już zostały kroki do amatorów i amatek tutejszych, którzy wszyscy chętnie pospieszili z przyrzeczeniem swojego współudziału. Szczególne przyprowadzenie do skutku tego pomysłu, znakomite może przynieść Towarzystwu dochody, a potrzebuje ono ich koniecznie, bo wydatki znacznie zwiększyły się w roku bieżącym, a fundusze, jak już powiedzieliśmy, przynajmniej dotychczas, wcale im nie są odpowiednie.

Otrzymaliśmy w tych dniach śliczny przekład poe-

zyj Michała Aniola Buonarroti, przez Lucyana Siemienińskiego, wydany w Krakowie i Cieszynie, nakładem redakcyi *Niewiasty*. Jest to książeczka mała objętością, ale treści tam na tomy całe. Po jednej stronie tekst włoski, po drugiej tłumaczenie polskie. I dobrze uczynił pan Siemieniński, że tak zestawił jedno z drugim, bo czytelnik umiejący po włosku, może się tym sposobem przekonać o wierności przekładu, która prawdziwie jest zadziwiająca; nieznający zaś języka Danta i Michała Aniola, języka tylu arcydzieł, będzie się mógł zawsze czegoś ztąd nauczyć; więc w każdym razie dobrze. Poezye poprzedzone są zajmującym wstępem tłumacza.

Gazeta Warszawska powiększyła znacznie swój format i pomnożyła liczbę współpracowników. Nie do uwierzenia są prawie postępy, jakie od dziesięciu lat uczyniły pisma nasze periodyczne. Objętość ich powiększyła się więcej jak w dwójnasób, a i treść się wzmogła znacznie. Nie więc dziwnego że liczba czytelników potroiła się i rośnie jeszcze ciągle. Szkoda że nie możemy tego i o wydawnictwie książkowym powiedzieć, obecnie bowiem znajduje się ono u nas w zupełnym upadku. Ani sposób wynaleźć jakich nowości, zasługujących na wymienienie. Księgarze lękają się nowych zakładów jak ognia, i nie dziwić się im, bo dawniejsze wydania leżą po większej części niezakupione jeszcze. Po kupno książek mało kto się zgłasza; można godziny całe przebyć w księgarni, a nie dopatrzeć ani jednego kupującego. Mówiono mi że w księgarniach, w których sprzedaż miesięczna wynosiła brutto 10,000 złp., a często i daleko więcej, dzisiaj ona do 3000 złp. zaledwie dochodzi.

Z tego już samego czytelnicy mogą powziąć wyobrażenie o upadku u nas handlu księgarskiego, a smutno powiedzieć, że niema nadziei żeby tak prędko się podniósł. Pieniądzy brak powszechny, a ci którzy je mają, chowają się z niemi, oszczędzając się w najkonieczniejszych nawet wydatkach. Cóż dopiero powiedzieć o książkach, które dotąd uważane są za pewien rodzaj zbytku. Zaprawdę, gdybyśmy tylko takie zbytki mieli na sumieniu, lekkoby nam było spłacać jego rachunki.

Ale nietylko po księgarniach taki brak kupujących czuć się daje; inne handle ucierpiały także. Co chwila czytać można ogłoszenia o wyprzedzaniu po niższych cenach; krawcy, którzy w obecnej porze mieli zwykłe najwięcej roboty, dzisiaj się uskarżają na brak jej, a u modniarek pusto, jak dotychczas nigdy jeszcze nie bywało. Wszystkim żalącym się jedną tylko udzielić możemy radę. Niech zaniechają, o ile możliwości, zaopatrywania składów i handłów swoich w zbytkowne materyały, niech się starają o zastosowanie cen do usposobienia ogółu, który pojął że nie czas nam teraz na zbytki i marnotrawienie pieniędzy. Tani towar łatwiej znajdzie nabywców, a drożyzna doszła u nas w ostatnich latach do tak wysokiej stopy, że czas było doprawdy pomiarkować się w wydatkach.

Do śpiewaka Lilli Wenedy.

O gdzie ty, gdzie ty, mój mistrzu natchniony?
I gdzie twój bardon z płomiennymi struny,
Ciepłą krwią zlany i łzami skropiony,
A rzucający boleści pioruny?...
—

O! tyś piesniarzem rospaczy, nadziei,
Spokojnych w śpiewie twym nie było tonów,
Rwał się i jęczał, ale wśród zawiei
Wierzył i wieszczył przyjsie chwili jasnej,
I był jak wstęga ze krwi twojej własnej,
I krwi milionów...

Jako miliony byłeś dumny, hardy,
I nie upadłeś nawet nad mogiłą,
I nie objęła cię zwątpienia trwoga,
Nie zgąłeś czoła przed szatana siłą,
Aleś go strzaskał potęgą twój wzgardy,
A nie żebrałeś nic... nawet u Boga!...

O! cześć ci mistrzu! cześć tobie i chwala!
Na twym bardonie dzisiaj ludzkość cała
Cierpieniem śpiewa pieśni odrodzenia...
A więc cześć tobie, Homerze cierpienia!

J. Narzymski.

KOMUNIKACJE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Nieraz już w poprzednich artykułach zwracaliśmy uwagę na wielką dla kraju ważność łatwych i ulepszonych komunikacji, zarówno wodnych jak lądowych. Mnogość projektów w tym względzie jest po prostu dowodem zajęcia się tą sprawą, i nie wątpimy iż wiele z nich znalazłoby urzeczywistnienie, gdyby nie stały na porządku dziennym inne, koniecznego i natychmiastowego załatwienia wymagające kwestie, tudzież gdyby materialne zasoby kraju wzmogły się postępowaniem rolnictwa, przemysłu i handlu.

Jakkolwiek przecież projekta podobne, mianowicie na szerszą zakresione skalę, pozbawione są dziś widoków urzeczywistnienia, mają one przecież dobrą stronę, gdyż przygotowują materiał do przyszłych prac w tym kierunku. Rzeczywiście, aby nakreślić projekt drogi, niedosć jest inżynierskich wiadomości, ale potrzeba troskliwie rozebrać ekonomiczne jego skutki, na podstawie danych statystycznych, aby się przekonać czyli droga odpowie widokom pożytku, nie tylko już co do pojedynczych okolic, ale względem całego kraju i ogółu systemu komunikacyjnego. Ścisłości więc w zebraniu danych, logiczności wniosków żądamy od autorów podobnych pomysłów, ażeby jeśli nie dziś, to w przyszłości mogły być praktycznie przeprowadzone.

Bardzo rzadko jednak spotykamy się w projektach nowych dróg z postawionymi wyżej warunkami; długie bowiem słęczenie nad owocem swych rozmyślań, fałszywe widzenie rzeczy, a niekiedy może interes osobisty, prowadzą autorów do błędów, lub popychają do złudnych sofizmów.

Przed nami leży podobny projekt p. Kamockiego, projekt kolei z Piotrkowa do Sandomierza, a następnie Rzeszowa, dla połączenia naszych dróg, z linią dróg galicyjskich, które znowu komunikować mają z systemem kolei południowych, jak odesko-kijowska i dalsze. Myśl podobnych kombinacji naszych dróg z południowymi, niejednokrotnie już rozbiegana była; o wielkich jej korzyściach nie wątpimy; z wykonaniem atoli należałoby się wstrzymać, aż linie południowe na serwo wzięte będą w robotę, dotychczas bowiem tam, podobnie jak i u nas, niewystarczające środki materialne obszerniejszymi pracami stoją na przeszkodzie. Dlatego też pominiemy tę stronę projektu pana Kamockiego, a weźmiemy pod króciutki rozbiór inne, bliższe, miejscowe korzyści wykazane przez autora. Szkoda tylko że i tu ważne spotykamy usterki.

Autor mówi: „Powiaty sandomierski i opatowski, tudzież zbliżone do kolei (projektowanej) zamojski, lubelski, stopnicki, na Gdańsk i inne europejskie targi mogłyby rozsyłać swe ziemiopłody i przerobione produkty; najmniej 300,000 korey zboża pokryłoby wagony kolei, choćby równa tej ilość pozostała na spław Wisłą, coraz trudniejszy i niedogodny.“ Jest to illuzja rozbijająca się o warunki miejscowości i dane statystyczne. Kto spojrzy na mapę i zbada kierunek konieczny linii piotrkowsko-sandomierskiej, na pierwszy rzut oka spostrzeże, iż powiaty zamojski i lubelski, jako położone za Wisłą, nie mogłyby korzystać z kolei na przeciwnym znajdującej się brzegu. Transport daleki do Sandomierza, wysuniętego na kraniec najodleglejszej okolicy, przez Wisłę, pozbawioną mostów w tym miejscu, przedstawiałby nader wiele trudności, niełatwych do przewyciężenia. Cały więc wywóz tych okolic, a tym więcej wyżej położonych, nie może wchodzić w rachubę. Podana liczba 300,000 korey zboża jest za wielką, cały bowiem wywóz górnej Wisły, z pięciu nadbrzeżnych portów, nie dochodzi 460,000 korey. Zwrócić nam jeszcze wypada uwagę, iż z powyższej cyfry przypada 260,000 korey zboża na Puławę, Kazimierz i Rachów (w dwóch pierwszych po sto, a w trzecim sześćdziesiąt tysięcy korey), położone na lewym brzegu Wisły i skupiające wywóz z okolic, które, jak powiedzieliśmy, nie mogłyby korzystać z kolei żelaznej piotrkowsko-sandomierskiej. Z pozostałych 200,000 krey od wybrzeża pod Zawichostem odbija 120,000 korey, od Sandomierza 50,000, od Nowego miasta Korczyn 30,000. Ile z tej liczby wypadnie na transport kolejną, a ile na fracht wodny, trudno przewidzieć; przy obecnych jednak nawet warunkach, spław wodą dla płodów rolnych, (mających dużą objętość względnie do swęj wagi) okazuje się najkorzystniejszym, i wątpić należy o pomyślniej konkurencji kolei z żegluga po Wisłę, która naturalnie z postępowaniem czasu zostanie rozwinięta. Nie można zaprzeczyć, iż pewne partie zboża, przy korzystnych obrotach spekulacji, ze względu na czas mogłyby być rzucone drogą kolei na trakt gdański, ale pewnym jest iż *masa* trzymałaby się zawsze dawnego, odwiecznego szlaku naszego handlu zbożowego. Zresztą rozwój jaki otrzyma niewątpliwie towarzystwo żegluga parowej, przez nową

organizacją finansową, przez powiększenie liczby gabbar, staje na przeszkodzie rachubom kolei na handel zbożowy, do posług któremu wystąpiłoby towarzystwo, jako naturalny i potężny współzawodnik.

Nie wiemy szczegółowo jakim szlakiem pragnąłby p. Kamocki przeprowadzić linią kolei piotrkowsko-sandomierskiej, nie wskazuje bowiem punktów środkowych; domyślamy się przecież iż chciałby przeciąć fabryki górnicze okręgu wschodniego. Ta część linii miałaby rzeczywiście wielką ważność, ułatwiając transport; lecz sądzimy że przy obecnych warunkach i środkach wystarczającą byłaby kolej żelazna konna. Koszt podobnej drogi od Piotrkowa przez Końskie, do ostatnich punktów fabrycznych pod Ostrowcem, wyniosłoby jedną trzecią tych, jakie wyłożyłby należało na budowę kolei obsługiwaną maszynami parowymi. Tym więcej ta okoliczność zasługuje na uwagę, iż prowadząc linią kolei przez Kielce do Sandomierza, ominęlibyśmy mnóstwo zakładów górniczych i spożykalibyśmy się z przeszkodami gruntowymi, często trudnymi do zwalczania. W tym razie kolei przekroczyłaby musiała pasmo gór Sto-krzyżkich, niewysokie wprawdzie, ale przedstawiające dość znaczne trudności, z powodu ciągłego falowania gruntu na całej przestrzeni projektowanej linii.

Zebrane przez p. Kamockiego cyfry we względzie przyszłego dochodu, a zatem finansowych szans jego projektu, w znacznej części uważamy za urojone, tym więcej że nie przedstawia on żadnej rękojmi ich prawdziwości. Zkąd np. autor wziął cyfrę 5550300 pudów, przedstawiającą ilość zboża, cukru, żelaza, kamieni ciosowych, wapna, gipsu i węgla, mających być przewiezionymi po nowej drodze? Nie wiemy, ani też nie możemy się domyśleć sposobu w jaki doszedł do liczby tak drobniagowej, iż w niej nawet 500 pudów nie ominięto. A przecież opłata od przewozu tych płodów stanowi najważniejszą pozycję dochodów. Zebrawszy autor powyższe przedmioty w jeden paragraf, w następnej pozycji oblicza ruch towarów innych, według średniej cyfry na milę, z ruchu warszawsko-wiedeńskiej kolei wyciągniętej. Lecz należałoby autorowi pamiętać, iż tą ostatnią drogą prowadzi się mnóstwo towarów z zagranicy, czego zupełnie nie można się spodziewać na linii piotrkowsko-sandomierskiej.

Pominiemy ścisłość i prawdziwość innych pozycji, zmniejszenie bowiem dwóch pierwszych, wpływa bardzo znacznie na ogólną sumę i wstrząsa mocno wnioskiem p. Kamockiego, który mówi iż dochód na milę nowej kolei przyniosłby brutto o 6000 rs. dochód kolei warszawsko-wiedeńskiej w roku 1855. Jeżeli jednak dodamy, iż budowa kolei nowo-projektowanej wypadnie daleko drożej, z powodu trudności terytorjalnych, łatwo zrozumimy iż linia piotrkowsko-sandomierska nie ma dziś tych świetnych widoków, jakie chciał przedstawić p. Kamocki.

Nie wątpiliśmy i nie wątpimy o dobrych chęciach obywateli tamtejszych, o ich gotowości do ustępstw, lecz nie sądzim aby kraj mógł obecnie włożyć dostateczne fundusze w przedsięwzięcie nie rokujące odpowiednich korzyści, tym więcej iż mamy tyle innych, niemniej pilnych, spraw dotyczących ogólnego naszego gospodarstwa. Kwestya np. urządzenia lasów, których silne wyczerpywanie i nie gospodarskie zużycie słuszenie niepokoi przemysł krajowy, jestże mniej pilną? Z regulacją stosunków włościańskich, nabiera ona nowęj wagi i nagłości, nie pozwalającej odłożenia jej na później; jak wiadomo bowiem pożyczka towarzystwa kredytowego postawioną została w pewnej zawisłości od urządzenia lasów.

Przykład innych państw uczy, iż w tym względzie używano tam nieraz środków bardzo radykalnych, jeżeli tego okazała się potrzeba. Tak we Francji minister Magne w 1856 r. przedstawił projekt wprowadzenia na budżet summy potrzebnych na obsianie lasami stoków gór alpejskich, Pireneów, owernskich i cewenich, w ogólnej przestrzeni 1433500 hektarów. Ponieważ w powyższej cyfrze zawierało się tylko 40000 hek. rządowych, a 532800 gminnych i 560700 prywatnych gruntów leśnych, przedstawiono przeto projekt do prawa względem pomocy mającej się udzielić posiadaczom tych dwóch ostatnich przestrzeni. Minister projektował następujące środki: 1) Rozdawanie nasion i nagród pieniężnych za postępy w uprawie leśnej, tak gminom, jak i prywatnym właścicielom. 2) Gdyby prywatni lub gminy nie mogły własnymi siłami dokonać uprawy, rząd zastosuje do ich gruntów pod ten cel przeznaczonych prawo wywłaszczenia. Wywłaszczy więc posiadaczy z gruntów i uprawi je pod las na swój rachunek. Właścicielom dozwala się powrót do zabranych gruntów, lecz za opłatą za ziemię i poniesione przez rząd wydatki. Senat zmodyfikował ten warunek i przyznał właścicielom i gminom prawo do zwrotu zabranej ziemi, za spłatą

tylko kosztów wywłaszczenia, uprawy i utrzymania, wraz z procentami. Gminy mają prawo do zwrotu połowy przestrzeni uprawionej, oddając drugą połowę na własność rządowi, zamiast opłaty za koszty poniesione. Rozumiemy się samo z siebie iż nad właścicielami prywatnymi, posiadającymi własne środki do wykonania robót, rozciągana bywa tylko pośrednia i ułatwiająca im pracę opieka, przez wyznaczenie techników utrzymywanych kosztem skarbu i t. d. Roboty rozpoczęto już w departamentach niższych Alp, gdzie paszenie ogromnych stad zrzuciło znaczne szkody i przyczyniło się do wyniszczenia lasów.

U nas, gdzie przestrzeń leśna jest jeszcze dość znaczna i wymaga tylko racjonalnego zagospodarowania, środek tak radykalny jak wywłaszczenie byłby niepotrzebny, tym więcej iż właściciele znajdują dostatecznego bodźca w warunkach pożyczki towarzystwa kredytowego.

Przeprowadzenie urządzenia naszych lasów, mianowicie stanowiących część posiadłości drobniejszych, odbywałoby się powinno spółkowym sposobem, dozwalałym prowadzić cały ten interes i administracją jego daleko taniej i dogodniej. Kraj nasz przedstawia nawet w tym względzie kilka pięknych przykładów, a mianowicie, w okręgach augustowskim, tykocińskim i stanisławowskim. Spółki od kilkunastu dopiero miesięcy tam istniejące, znaczne już uczyniły postępy, zarządzając pomiary lasów, zaprowadzenie w nich odpowiednich wrębów, racjonalną sprzedaż, obsiewanie wydm i nieużytków brzezina, sosną i dębem, zakładanie szkółek leśnych i pielęgnowanie ubożego, jak nateraz, zwierostanu. Mamy nadzieję iż członkowie tych trzech spółek ogłoszą w czasie właściwym bliższe sprawozdanie z rezultatów swych działań, aby tym sposobem zachęcić resztę kraju do skwapliwego naśladowania.

Dom rolników płockich dał nowy dowód swęj działalności nieustającej, przez założenie sklepu z towarami kolonialnymi i gospodarskimi w mieście Drobinie. Zarząd tego sklepu objął starozakonny, a fakt iż cząstkowi handlarze zaprzestają swęj opozycji, ze złego zrozumienia interesów wynikającej, dobrze nam na przyszłość wróży.

WSZECHNICA WROCŁAWSKA.

Po długich zwadach i bojach, któremi niestety wiek XV odznaczył się, Wrocław, przekonawszy się nareszcie o zgubnych wpływach ciągłego niepokoju, szczerze wziął się nie tylko do dźwignienia handlu i przemysłu, ale i do podnoszenia sztuk i nauk. Zapatrząc się na Lipsk, gdzie mieszkańcy coraz więcej wydobywali się z klęsk, jakie bezustanne wojny prowadziły za sobą, Wrocław pragnął korzystać z błogiego przykładu. Między innemi pomyślano i o założeniu wszechnicy, i na ten cel wybudowano wielki gmach drewniany, zawierający potrzebne słuchalnie. Zbawienne to przedsięwzięcie dużo jednak spotkało przeszkód, które jezuitom dopiero udało się w zupełności usunąć.

Zakon jezuicki, doznając wszędzie oporu, w r. 1595 opuścił Wrocław, ale zaraz po pamiętnej bitwie pod Białą Górą wrócił do Szląska, gdzie cesarz Ferdynand II, niegdyś uczeń, a później wielki jego dobrodziej, umieścił go w Nissie. Chytrym sposobem dostali się ojcowie nazad do Wrocławia, gdzie nabywszy kamienie, urządzili w niej szkołę, do której z początku 12 uczęszczało chłopców. Magistrat miasta ztęm bardzo na to patrzył okiem, gdziekolwiek mógł robiąc trudności; daremnie jednak były wszystkie jego usiłowania, bo zakon zasłaniał się wolą wyższej władzy. Przez długi czas starali się ojcowie o kupno jakiego kościoła, lub innej realności odpowiedniej, a skoro kroki i zabiegi ich nie powiodły się, cesarz w r. 1670 darował im własny swój zamek. Ponieważ nowo-założona szkoła coraz więcej znajdowała zwolenników, postanowiono utworzyć wszechnicę. Magistrat znowu nie szczędził ani przedstawień, ani prośb, aby zapobiedz urzeczywistnieniu tego zamiaru, ale bezskutecznie; zapis fundacyjny nadszedł 21 paźd. 1702 r. a 15 listopada tego samego roku już nastąpiła inauguracja. Nowy instytut mieścił w sobie 4 wydziały, t. j. teologiczny, prawa kanonicznego, filozofii i sztuk wyzwoleń.

Dążąc nieustannie do nabierania coraz większego znaczenia i utwierdzenia uzyskanę już władzy, zakon korzystał z każdego zdarzenia aby zakupywać realności, a mając nakoniec dostateczną już ku temu miejscowość, w r. 1728 rozpoczął wybudowanie gmachu uniwersyteckiego, który w ośm lat później stanął tak, jak pokazuje załączony tu drzeworyt.

Rzecz naturalna, że ojcowie wszelkimi starali się siłami, aby nowo utworzonemu przez nich zakładowi

zjednać przyjaciół. Dowodem że to udało im się wzmiankować, jest okoliczność, że od r. 1720 do 1740 do wszechnicy rok w rok 1200 do 1300 uczęszczało słuchaczy. Liczba ta, po zajęciu Śląska przez Prusaków, o połowę się zmniejszyła; podczas wojny siedmioletniej słuchalnie stały pustkami, a sam gmach, wraz z przyległym kościołem, obrócone zostały na cel wojskowy. Po zawarciu pokoju hubertsburgskiego, (wr. 1763) którym, jak wiadomo, skończyła się wspomniana dopiero wojna, młodzież wyższym poświęcającą się naukom, coraz liczniej wracała do osieroconej wszechnicy, a grono słuchaczy w ciągłym było wzroście; po wybuchu jednak rewolucji francuskiej znowu zeschupliło się, a w ciągu lat od 1806 do 1813 żadnego prawie nie było w niej ucznia, bo ktokolwiek mógł, porzucił wtedy nauki, a wziął się do oręża.

Dnia 21 lipca 1773 r., papież Klemens XIV, jeden z najzaciewniejszych mężów swego czasu i prawdziwa ozdoba stolicy rzymskiej, wydał był bullę *Dominus ac redemptor noster*, mocą której zakon jezuitów znie-

rokości, używana na dysputy, popisy i koncerty. Gdzie tylko okiem rzucić, po schodach, korytarzach i t. d., wszędzie natrafiamy na bogactwo rzeczywiście rozrzucone i na ozdobność wykwinutą; ale wrażenie jakie wspomniana dopiero sala sprawuje, przechodzi to wszystko. Tam wszędzie panuje przepych, mający prawdziwą wartość artystyczną. Malowidła al fresco pędzla *Krzysztofa Hankiego* Olomuńczyka, przedstawiają patronów prowincji, miasta i wszechnicy, jako to: św. Jadwigę, św. Jana Chrzyciela, ojców Ignacego i Ksawerego, tudzież wizerunki niektórych papieży, cesarzów, królów i ministrów. Pod aulą znajduje się tak zwana *sala muzyczna*, jak tamta wielka, ale nie tak suto ozdobiona, nad nią zaś *muzeum zoologiczne*, jeden z najbogatszych zbiorów swego rodzaju.

Kościół św. Macieja, jak już mówiliśmy, połączony z gmachem uniwersyteckim, obciążony jest łozami, pilastrami, sztukaterią i malowidłami. Obok niego wznosi się skromny domeczek, dziś zburzony, gdzie w r. 1679 urodził się *Krzysztof Wolf*, sławny filozof, któ-

Grzegorz i Kajetan Widortowie,

śpiewacy-teorbanisci na Wołyniu.

Przy zawiązku wojennej drużyny zaporozkich Kozaków, starosławiański lirnik przeistoczył się na *bandurzystę*, na narodowego śpiewaka wojennej sławy Ukrainy. Zmieniając instrument, wzięty, jak się zdaje, z Węgier (pandura—bandurka), zmienił swoją nazwę, a za tem musiała zajść pewna różnica osobistego charakteru obozowego rapsodysty, od pierwotnego typu sielskich śpiewaków. Tułacza swoboda lirnika wędrującego od gospody do gospody i żyjącego z darów ogółu, za niewyczerpany dar pieśni, przeszła w rodzaj rycerskiej zależności bandurzysty od wojennej starszyny, której czyni głównie opiewał. Przeważny wpływ dawnej Polski na Zaporozie i Ukrainę, przeniósł z kolei bandurzystę na dwory wielkich panów, którzy, jak Różyński, Wiśniowiecki i inni hetmanili kozactwu. Potem zaś, gdy każdy zamożny szlachcic, dla obrony zamków swoich



WSZECHNICA W WROCŁAWIU. (Rysował Podbielski).

siony został. Po jej ogłoszeniu Fryderyk II ojcom wprowadził nie zabronił dalszego pobytu w państwie pruskim, ale żądał reformy wszechnicy, a we trzy lata później przemienił ich na księży królewskiego instytutu szkolnego, przykazując zarazem, żeby zdjęli habit zakonny. W r. 1788 posiadłości ojców zabrano i sprzedano na korzyść skarbu; w r. 1800 nastąpiła główna reforma wszechnicy, a w r. 1811 wcielenie uniwersytetu frankfurckiego do wrocławskiego.

Po tym krótkim zarysie historycznym, obejrzymy nieco bliżej wspaniały budynek, (wystawiony podług planu z Neapolu przywiezionego, dotąd nieskończony jeszcze ze wszystkimi), który szczególnie ze strony mostu przedstawia się w całej swej okazałości.

Wieża astronomiczna dzieli gmach na dwie połowy, z których zachodnia ma trzy piętra, wschodnia zaś cztery. Boczne skrzydło łączy go z *kościółem św. Macieja*. Słuchalnie uderzają obszernością swoją; największą atoli osobliwość całego budynku stanowi *Aula Leopoldina*, sala mająca 60 łokci długości, a 46 sze-

remu nauka zawdzięcza nie tylko uzupełnienie układu Leibniza, ale i podzielenie filozofii na odrębne gałęzie.

Grono profesorów wykładających na wszechnicy wrocławskiej, liczy obecnie 94 członków, łącznie z 7 lektorami języków uczącymi. Z nich przypada 8 na wydział katolicki teologiczny, 9 zaś na ewangelicki, 9 na prawny, 21 na lekarski, a 40 na filozoficzny. Z liczby ogólnej 861 akademików, w półroczu zimą 176 słuchało teologii katolickiej, 445 ewangelickiej, 132 prawa, 107 medycyny, a 258 filozofii. Z liczby wszystkich, 73 nie było wpisanych do rejestrów uniwersyteckich.

Że wszechnicy wrocławskiej nie zbywa na potrzebnych do nauk środków pomocniczych, samo z siebie rozumie się. W każdej gałęzi zbory, w odpowiednich salach poustawiane, są dokładne i w najlepszym utrzymaniu porządku. W odrębnym artykule obszerniej może kiedyś o nich pomówimy.

na Rusi, utrzymywał zbrojne watagi Kozaków, bandurzysta stał się nieodbitym członkiem tych drużyn.

Lecz gdy w następstwie czasów Zaporozie i Ukraina, przez nacisk zewnętrzny, a raczej przez brak samoistnych żywiołów, nie dojrzawszy do społecznej indywidualności, rozpadły się i poczęły stanowić bierną siłę, zależną na poły od dawnej Polski, lub Rosyi,—wówczas znika *bandurzysta*, a natomiast w polskiej Ukrainie nie ukazuje się *teorbanista*. Nie był to już obozowy, jak pierwszy, ale bardziej pokojowy śpiewak panów szlachty i braci Kozaków. Stanął znowu naprzeciw wędrownego lirnika, a będąc powtórnym niejako jego przeistoczeniem, więcej się jeszcze od pierwotnego typu oddalił. Za czasów Stanisława Augusta, widzimy już Kozaków-teorbanistów, pozbawionych wszelkiego wyższego charakteru, a służących jedynie śpiewem i tańcem ku pustej zabawie i rozrywce, gdy tymczasem stary lirnik pozostał zawsze na swoim dawnym, poważnym stanowisku, wierny podaniom i pieśniarskiej służbie ludu.

Zamiłowanie panów i szlachty polskiej w tych przy-

dwornych grajkach, z ukraińskim zakrojem, dało początek *mistrzom teorbanistom*, którzy, przechowując tradycje ukraińskich śpiewaków, byli zarazem nauczycielami gry na teorbanie i śpiewu. Z żywych przykładów, sięgających naszych czasów, widzimy, że stanowisko to, potrzebujące pewnego ukształcenia, zajmowane było, bodaj czy nie wyłącznie, przez biedniejszą szlachtę polskiego pochodzenia. Czerpiąc zaś barwę i nastrój do swoich pieśni w nieprzebranym bogactwie dum ukraińskich i stykając się bezpośrednio z ludem, a nawet używając na polu polskiego i ukraińskiego języka, stanowili, bez wiedzy może, punkt równowagi dwóch prowincyj Rzeczypospolitej, przez co cały cykl pieśni z okresu teorbanistów, silniej jeszcze niż dwóch poprzednich, lirników i bandurzystów, zbratany jest z żywiołem polskim, przenikającym coraz bardziej poetyczne i podaniowe pomniki ludowej ukraińskiej literatury. W ogóle jednak przyjść musimy do uznania, że teorbanista nie był już wynikiem potrzeb i życia ludu, a tylko świadczył o zwrocie wyobrażeń zamieszkałej na Rusi szlachty, do nawyków i upodobań miejscowych. Niezbadała ta sympatia, dowodząca duchowej solidarności, przejawiała się raz jeszcze za dni naszych, w utworach mistrzów ukraińskiej poezji, na których czele spotykamy takie imiona, jak: Malczeskiego, Bohdana Zaleskiego, Gosczyńskiego i innych. Lecz wróćmy do teorbanistów.

Historycznym typem śpiewaka-teorbanisty, jest dla nas Grzegorz Widort, szlachcic polski. Urodzony w r. 1764, młodość swoją przeżył w charakterze mistrza-śpiewaka, na dworze głośnego w swoim czasie Wacława Rzewuskiego, i towarzyszył mu w podróży na Wschód, gdzie, jak wiadomo, Rzewuski znany był pod imieniem Emira-Tadż-Ulferch. ⁽¹⁾

⁽¹⁾ Zbiorek poezji Wacława Rzewuskiego posiada w rękopisie i przeznacza do druku hrabia Włodzimierz Brühl Plater.



KAJETAN WIDORT. (Rysował z natury Kossak.)

Przeszedł potem Widort na dwór księcia Eustachego

Niektóre z nich wyjątki umieszczone były przed kilką laty w Dodatku do Czasu. Ciekawą byłaby biografia tego znakomitego z wielu względów człowieka, zatracająca się w ustnych podaniach, przeistaczanych w legendę. J. P.

Sanguszki w Sławucie i w roku 1831 we wsi Kuźminie na Wołyniu, mając lat sześćdziesiąt ośm, życia dokonał. Wiadomy twórca dum polsko-ukraińskich, Tomasz Padura, poświęcił jego pamięci jedną z najpiękniejszych dum swoich, którą tu w oryginale, wraz z przekładem podajemy.

Z lwowskiego wydania pieśni
T. Padury.

Neżurysia mij choziaju,
Ne za datkom ja idu,
Ot tak siadu, zaspivaju,
Wid spiwaju, taj pijdu.

Wid mistoczka, do stołyciw,
Wid stołyci, do sęla,
Dla lycariw, dla diwyciw,
Widortowa piśn hula.

Stari zamki joho znajut',
Win dił dawnych uczyt' nas,
W joho piśni odżywajut'
Zmarły lita, zmarły czas.

W Zaporozii lit nemało,
Na dniprowych berehach,
Kozakam się prospiwało,
O Bohdana ⁽²⁾ Kozakach.

Chotiaj myło z nymi żyty,
Chot' jak szczastije ide wik,
Idu w Polsczu, zakinczyty
Sześćdesiatyj wośmij wik.

Witeczni toż zamku bramy,
Łacka piśn wam zahude,
Pożurytsa spiwak z wami,
Pożurytsia, taj pijde.

Żadnych skarbiw win nemaie,
I-nechoce ich od was,
Nechaj tilki chto zhadaje,
Kołyj Widort buw u was.

(Przekład polski.)

Gospodynie! pokój tobie!
O nie prosić nie mam was,
Ot zaśpiewam tylko sobie,
I znów pójdę w Boży czas.

⁽²⁾ Bohdana, to jest Chmielnickiego, dla którego krwawą pamięć mniżej tkliwi, pominęliśmy jego imię w naszym przekładzie. J. P.



WESELE WŁOŚCIAŃSKIE NA POBEREŻU. (Rysował Pillati, podług akwarelli Langa).

O! przez grody i przez sioła,
Brzmi dla dziewic naszych gron,
Do rycerzy naszych woła
Widortowych pieśni ton.

Stare zamki w krąg go znają,
On spraw dawnych uczy nas,
W jego pieśni zmarłych wstają
Zmarłe wieki, zmarły czas.

W Zaporozu lat nie mało,
Na przydnieprskich brzegów tle,
Ileż pieśni tam przebrzmiało,
O minionej sławy śnie!

Choć żal było się rozłączyć,
Choć tam szczęścia nie émił mrok,
Tu do Polski wracam, kończyć
Sześćdziesiąty ósmy rok.

Więc otwórzcie swe podwoje,
Niech pieśń laska zabrzmi wam,
Śpiewak zbudzi troski swoje,
I znów z troską pójdzie sam.

Nie zna skarbów on bogaczy
I bez skargi zawsze żył,
Niech kto tylko wspomnieć raczy,
Kiedys Widort u nas był!

Z tej piosenki możemy widzieć, jak pojmowano u nas w ostatnich czasach zawód śpiewaka – teorbanisty. Stawiano go w pojęciu wyższym, jako łącznik polsko-ukraińskich wspomnień, i jeżeli częstokroć Kozacy-teorbanisci towarzyszyli grą swoją i śpiewem gwar-nym ucztom szlachty, jeżeli niektórzy śpiewacy-teorbanisci, jakich spotykaliśmy sami jeszcze, mieli bar-dzo podrzędne znaczenie, były to tylko nadużycia lub wyjątki. Charakterystyczny typ tych śpiewaków, prze-chował się czysty w rodzinie Widortów, i ten nam za wzór ma służyć, przy określeniu historycznej po-staci teorbanisty.

Miejsce zmarłego piewcy na dworze książąt Eusta-cho i Romana Sanguszków, zajął syn jego, Kajetan Widort, który, podobnie jak jego ojciec, poświęcił się wyłącznie grze na teorbanie i pieśni, bez żadnych innych obowiązkowych zatrudnień. Miał przytém za-wsze na nauce najmniej sześciu Kozaków książąt Sanguszków, oprócz chłopców, których mu sąsiedni obywatele w tym celu dostarczali. Wcześniej jednakże, bo w 48 roku życia, umarł w Sławucie w 1852 r. Syn jego, Franciszek Widort, zostający zawsze u ks. Romana Sanguszki, chociaż grywał na teorbanie, nie obrał sobie pieśni za wyłączne powołanie, i Kajetana Widorta, którego portret dajemy tu z ołówkowego szkicu Kossaka⁽³⁾, uważać należy za ostatniego mi-strza-teorbanistę na Wołyniu.

Mam przed sobą pisaną księgę pieśni śpiewanych przez Widortów, która jest zarazem wskazówką prze-bieżonego przez nich pieśniarskiego zawodu. Ludowe ukraińskie piosenki i polskie śpiewy, z tych ostatnich niektóre bardzo świeżej daty, przeplatają się tu ko-lejno, symbolizując dwulicowy charakter samych pie-sniarzy. Niemalże też w tej księdze spotykamy dum Tomasa Padury, które wynoszone nad miarę, lub potępiane zbyt srogo przez krytykę, właściwie dopie-ro osadzić się dadzą, zestawione z pojęciem polsko-ukraińskiego teorbanisty, i nawzajem uzupełniają w pe-wnym względzie jego obraz. Zatrzymajmy więc nad nimi dłużej naszą uwagę.

Dumy Padury mają niezaprzeczenie wszystkie za-lety, a zarazem i niedostatki tych śpiewaków z ukraiń-skim zakrojem, i uważać je można niejako za punkt kulminacyjny w literaturze, praktycznego zawodu mi-strzów-teorbanistów. Dumy te, pod względem treści i formy, nie są wcale ludowe, i dlatego w lud nie poszły i nie są tak popularne, jak charakterystyczne utwory pana Ostaszewskiego: *Pin kopy skazok*. Prze-ciwnie Padura, posługując się umiłowaniem ukraiń-skim narzeczem, starał się je niby podnosić i nała-mywać do ogólnych form poetycznych, przez co czę-stokroć rytm jego staje się przesadnym i nadętym, szczególnie porównany z poważnym i pełnym pro-stoty tokiem ukraińskiej pieśni. Przytém poeta nasz, oprócz tej niestosowności formy, wprowadzając nie-kiedy wyrazy polskie, albo starosłowiańskie, lub two-rząc nawet zupełnie nowe, stawał się tém mniej zro-zumiałym dla ludu. Dodajmy do tego, że Padura bar-dzo rzadko brał do pieśni swoich obrazy i pojęcia ze sfery ludowej. W ogóle przypuszczając trzeba, że poeta, tworząc piękne swe dumy, albo nie miał wcale na względzie ludu, a tylko słuchaczy własnej spo-leczności, albo też miał raczej na celu by sympatyje tej ostatniej w lud przeszczepić. Słowem, jak teor-banista na szeroka skalę przestrzeni i czasu, tak du-my Padury w szczuplejszych rozmiarach, w literatu-rze, znaczą zarówno moment zwrotu szlacheckiego żywiołu, do nawyknień i upodobań miejscowych.

Potwierdzenie tego porównania, znajdujemy we wła-

sných utworach Widortów, których mniej niżby spo-dziewać się można było, spotykamy w księdze ich pieśni, i niewielka ta liczba wyłącznie do Grzegorza Widorta należyć się zdaje. Są to pieśni, składane w ukraińskim narzecz, na cześć hr. Wacława Rze-wuskiego i domu książąt Sanguszków, a szczególnie księcia Romana. Znanie są publiczności naszej Widor-towe pieśni o emirze Tadz-Ulferch, w mistrzowskiem przetworzeniu Juliusza Słowackiego; wstrzymuję się więc od załączania w całości przydłuższych nieco ory-ginałów, które mu za temat służyły. Żeby jednakże dać poznać charakter tych utworów, wypisuję tu kilka wyjątków.

WYJĄTEK PIÉRWSZY.

Z pieśni o Wacławie Rzewuskim.

Oj wyjechał pan Rzewucha⁽⁴⁾
Na koniu hulaty,
Perewisyw czerez pleczy
Sahajdak bogaty.

(Przekład polski.)

Oj wyjechał pan Rzewuski,
Bujać na rumaku,
Zwiesił sajdak po przez plecy,
Złoto na sajdaku.

Dalsze strofy wyliczają ulubione wierzchowce Rze-wuskiego, a mianowicie Gumłę, Dychtemira i sławio-ną przez Wincentego Pola klacz *Guldję*. Jeździec do-siada je kolejno i „żaden ptaszek w powietrzu nie dokaże tego, co on na koniu” powiada śpiewak. Ja-koż, nie zsiadając z rumaka, wypuszcza z łuku strzały i trafia w tarczę na cel postawioną, zrywa w pędzie kwiatki dla swojej *Rózi*, albo podejmuje z ziemi szablę. W końcu woła:

Podaj Sawo konia żwawo,
Niechaj mene znajut,
Koły siodu na konia,
Żyły mini drgajut.

(Przekład polski.)

Prowadź Sawo konia żwawo,
Niech znan z tego będę,
Że mi rażniej krew uderza,
Gdy konia dosiędę.

WYJĄTEK DRUGI.

Podróż Wacława Rzewuskiego.

Pieśń ta bierze na siebie szczegółowy opis podróży Wacława Rzewuskiego na Wschód. Jeden z Kozaków opowiada innym, co zasłyszał z rozhovorów starszyny (w bałkowskich rozhovorach). Wszystko tu oczywiście przechodzi w poetyczną legendę. Podróżnik nasz, żeglując przez sine, białe, czerwone i czarne morza, zajeżdżał między dzikie ludy, które karmią się surową rybą i pozbawione daru mowy, *piszczą tylko i świszczą*. Podobne obrazy smuć wędrownika, a cho-ciaż nie straszły go nawet *piaskowe morza*, tęskni do ziemi rodzinnej, tracąc już nadzieję powrotu. Ra-dzi się więc gwiazd, i *byłby zginał, gdyby ich po-znać nie umiał*, powiada śpiewak. Gwiazda go pro-wadziła i doprowadziła do Carogrodu. Potém idzie ustęp o względach, jakie u sułtana pozyskał, jak dzi-wił Turków skromnością swojej pościeli, złożonej z *dwóch burek i siódła*, a bardziej jeszcze, jak ich zachwycał umiejętnością dosiadanania najdzikszych koni. Dalej, *przebrany po turecku*, zwidza Wschód, i tu pieśniarz wylicza poimiennie wszystkie kraje jakie objechał, i *zaszczyty z jakimi go baszowie i hano-wie, przez wzgląd na kartę mianą od sułtana, przy-jmowali, pijąc razem z nim kawę i paląc fajkę*. Ku-pione zaś po drodze konie odsyła do Stambułu. Lecz tęsknota do kraju obudza się znowu w sercu wędrowca, i śpiewak powtarza tak jego myśli:

Sam do sebe stau kazaty,
W swoju zemlu jak przydu,
Klaknu, budu ciłowaty,
Wże do inszoj nie poidu.

(Przekład polski.)

I sam sobie tak ślubuje:
Do mój ziemi gdy powrócę,
Kłękne, proch jęj ucałuję,
I już nigdy nie porzucę.

Ostatnie zwrotki upominają pozostałych Kozaków,

⁽⁴⁾ Widort nazywa Wacława Rzewuskiego w pieśniach swo-ich *Rewuchą*. Oprócz tego, zwało go przydzworne jego kozac-two *Złotą brodą* (Zołotaja boroda) jako widzimy w pieśni po-święconej mu przez Padurę:

A my chłopci w geryłci,
Kryknem hura po zadi!
Zdojmem szapki, pokłonymsia,
Zołotoj brodi!

(Przekład polski.)

A my chłopcy stałmy w kolo,
Hurra krzyknem mu w odwodie,
Zdejmy szapki, schylimy czoło,
Cześć oddając *złotej brodzie*.

Dodawszy do tego arabskie miano Tadz-Ulferch, wi-dzimy że bohater ten miejscowych legend naszych pod kil-ku slynął imionami. J. P.

żeby pilnowali porządku w stajni, bo powiada: skoro zbliży się do ziemi rodzinnej, *polecą jak ptaszek* i przy-jechawszy, najprzód będzie *oglądać konie*. Nie jest to jednakże groźba, a tylko przestroga, żeby nie zasmu-cić dobrego pana, którego nazywają *serdecznym Rze-wuchą*, i postanawiają otoczyć go po powrocie, *jak pszczoły matkę w ulu*. Wyżej jeszcze powiedziane było, że jedynie przymioty serca zachowały go w podróży pośród dzikich ludów, które bez tych zalet, nie szano-wałyby go pewno.

WYJĄTEK TRZECI.

Pieśń dla księcia Romana Sanguszki.

Przeszedłszy na dwór książąt Sanguszków, Grze-górz Widort nastroił swój bardon na cześć innej ro-dziny, i najczęściej sławił księcia Romana. Oto jest kilka strof z pieśni wyrażającej tęsknotę po jego wy-jeździe i radość oczekiwanego powitania:

Użé zora swityt z neba,
Oj Romana nam i otreba!
Jak dla szczastija, tak dla doli,
Ne skacz koniu z nym powoli!

Torhaj żwawo nam Romana,
Tobi sława bude dana,
Jak dla szczastja, tak dla doli,
Ne skacz koniu z nym powoli.

Radby but' odnoj hodyny,
Roman u swojej rodyny,
A w Tarnowi, kraj Wisłoczy,
Ne jednemu wpade w oczy.

Wasza zemla, wasza chata,
Tam zobaczyw swoho brata,
Jaka radost' w todi bude,
Jak do swoich win przybude.

Widort kazaw, dobre znaje,
Roman w mowi myłost' maje,
Jak z kim stane howoryty,
To każdyj musyt' lubyty.

(Przekład polski.)

Już i zorza świeci z nieba,
Oj, Romana nam potrzeba!
Jak dla szczęścia, tak dla doli,
Nie skacz koniu z nim powoli.

Żwawo przywież nam Romana,
Sława zatoć będzie dana,
Jak dla szczęścia, tak dla doli,
Nie skacz koniu z nim powoli.

Radby Roman w tej godzinie,
Już przy swojej być rodzinie,
A w Tarnowie kraj Wisłoczy,
Tam każdemu wpadnie w oczy.

Wasza ziemia, wasza chata,
Tam powitasz swego brata,
Jaka radość wtenczas będzie,
Gdy do swoich już przybędzie.

Widort dobrze wie i powie,
Że jest miłość w jego mowie,
Z kim pomówi choćby trocha,
Każdy zaraz go pokocha...

Dalej piewca odwołuje się do pamięci księcia Ro-mana Sanguszki, znanego pogromcy Tatarów za cza-sów Zygmunta I, o którym i Padura pełną uroczy-ści dumę zostawił:

Czy ty znajesz mij Romane,
Szczó twe imja duże sławne,
Jak twij naddid nadaw strachiw
Tataram, za dawnich Lachiw.

Ne lza toho wspomynaty,
Po cholawach pana znaty...
O tym tilki tobi skažu,
Bo nikoho ne uražu...

Dobra zemla dobrych rodyt,
Roman od neje pochodyt...

(Przekład polski.)

Wiész Romanie, w czasy dawne
Już twe imię było sławne,
Jak twój naddziad, z bożych darów,
Był postrachem dla Tatarów.

Lecz któż przecie tego niewie?
Wsak znać pana po cholewie...
To rzec tylko się poważę,
Bo nikogo nie obrażę:

Dobra ziemia dobrych rodzi,
A z niej Roman nasz pochodzi...

W końcu śpiewak wylicza obszerne majątności do-mu książąt Sanguszków i opiewa przymioty oddziel-nych członków rodziny. Kilka jeszcze innych spoty-kamy pieśni Widorta do księcia Romana Sanguszki, w których albo sławi dzielność jego koni, szczegól-niej *Działfa*, albo określa stosunek nadwornych Kozaków do pana, cechujący się łaskawością z jednej, a serdecznym wylaniem z drugiej strony.

Oprócz tych nadwornych rapsodów, nie mało ukraiń-

⁽³⁾ Oryginał szkicu znajduje się u ks. Romana Sanguszki.

skich piosnek, treści miłosnej, zdają się być również utworu Widortów; lecz mniej zapewne dbali o przywilej autorski, niczem ich nie oznaczyli. Zresztą chodziło nam głównie o wykazanie charakterystycznych cech teorbantów, którzy w pieśniach swoich uważali się za strażników sławy swoich patronów i sprawiali niejako moralne naczelnictwo nad drużyną dworskich Kozaków. Pod tym ostatnim względem wpływ teorbantów nie zostawał bez skutku, i chociaż zadaniem ich było dogadzać tylko panom, rozmówianym w melodyi dum ukraińskich, dosięgali jednakże wyższego celu, wpływając pośrednio na lud, przez uczestnictwo dworskich Kozaków.

J. Prusinowski.

WESELE WŁOŚCIAŃSKIE NA POBEREŻU.

Pobereże stanowiło dawniej południową część województwa bractawskiego, rozciągającą się między Dniestrem a tak zwanym stepami tatarskimi, a przybrało takie nazwisko od *pobrzeża*, pogranicza, albowiem z trzech stron dotykało obcych granic. Autorzy opisujący te strony tak o nich mówią: „W błogiej tej krainie sięją na polach kukurudzę, basztany są melonami i kawonami okryte, winograd przyodziewa naddniestrzańskie skały, morwowemi liśćmi karmią się jedwabniki, dziko rosną brzoskwinie i morele, po ulach sączy się miód biały, a stada bydła, koni i owiec wypasają wysoką trawą okryte błonia. Słowem, wysiliła się natura dla ludzi, lecz ludzie założyli ręce, a przynajmniej pracą ich nie kieruje przemysł.“ (Święcki, Baliński i Lipiński.)

Z tego to zapewne powodu lud w tych stronach leniwy, a co za tem idzie, i ubogi. Zwykłym jego pożywieniem są: chleb z kukurudzy, jarzyny i kartofle. Mięsa i ryb chyba w wielkie święta używa. Odzieniem jego jest kozuch lub siermięga (sukmana); chaty z drzewa w słupy albo w węgly, niskie, dymne i niechlujne. Gdzie niema lasu, dają ściany z chrustu i między temi ubijają glinę. Kominów nad dach nigdy nie wyprowadzają. Kobiety ubierają się w białe lub kolorowe tak zwane *rańtuchy* albo namitki, które gdy rozpuszczą, stanowią dla nich jakby zasłonę. Zapaski zajmują miejsce fartuszek, a warkocze włosów układają w kształt korony, ozdabiając je rozpuszczonymi wstążkami i wieńcami z barwinku. Z upodobaniem noszą obuwie żółte lub czerwone, co zdaje się przejęły od sąsiadujących z nimi dawniej Tatarów. Mężczyźni nie odznaczają się dorodnością, a kobiety, najczęściej niskie i tłuste, podobnie nie zalecają się wdziękami. W zwyczajach i obyczajach swoich lud Pobereża wiele ma podobieństwa z ludem Rusi Czerwonej i Podola, zwłaszcza ze stron naddnieprskich.

Muzyka u nich jest nadzwyczaj melodyjna i smutna, jak to znajdujemy w ogóle na całej Rusi. Na obrzędach weselnych przygrywać zawsze muszą skrzypce, basetla i cymbaty; ten ostatni instrument zdaje się być najbardziej lubionym. Tańczą najwięcej tak zwaną *szumkę*, albo taniec *okrągły*, który zaczyna się jak polonez. Taniec ich jednak nie ma tego zycia, jakie znajdujemy w podobnych zabawach Krakowiaków lub Mazurów.

Obrzędy weselne różnią się wiele od tych, które w naszych stronach widzimy, chociaż *korowaje* z pszennej maki, z różnemi figielkami na wierzchu, grają tam przeważną rolę. W końcu korowaja kładą dwa pieczone jaja, czego u nas nie widzieliśmy. Główne figury wesela są: *starosta dański*, ze strony rodziców panny młodej, i *starosta brański*, ze strony pana młodego. Oni wszystkiemi się zatrudniają, o wszystkiemu muszą pamiętać. Panna młoda obdziela przytomnych podarunkami: są to ręczniczki domowej roboty, a panu młodemu daje chustkę sklepową, za którą on, oprócz tego że zaraz płaci w miarę swęj zamożności, daje jeszcze wzajemnie swęj oblubienicy *rańtuch*, aby miała czem później, gdy zostanie mężatką, głowę przykryć.

W sam dzień ślubu druchny i kumoszki spletają dwie korony, jedną dla panny młodej, drugą dla narzeczonego. Tę drugą odnoszą mu parobcy na bochenku chleba, przy towarzyszeniu muzyki. Następuje obrzęd czesania włosów. Starosta dański rozczesuje je pannie młodej, a za nim czeszą wszyscy, kto tylko jest w chacie; starosta zaś brański panu młodemu przypina do czapki koronę i odprowadza go uroczystie do domu narzeczonej. Powracających z cerkwi, matka panny młodej, która głowę ma nakrytą wywroconym kozuchem, spotyka w progu z ozogiem, bochnem chleba i kieliszkiem wódki. Wódkę oddaje zięciowi, który wypija połowę, a resztę wraz z kieliszkiem rzuca za siebie. Wtedy matka na oboje państwa młodych rzuca garściami młócony owies, poczem wszyscy wchodzą do chaty, jedzą, piją i hulają. Drzeworyt tu zamieszczony przedstawia jedno z ta-

kich wesel włościańskich na Pobereżu. Malarz, pan A. Lang, wybornie uchwycił typy ludu pobereckiego i oddał je z niezmienną prawdą. Pannę młodą i pana młodego widzimy na czele; panna młoda już w *rańtuchu*, bo po powrocie z cerkwi ma przyszytą do *rańtucha* koronę. Pan młody nie ma na głowie czapki, a zatem i korony, ale poznać go można po zadowoleniu z jakim patrzy na swoje ulubioną. Drużki rozpoznajemy po naszywkach ze wstążek, które każda z nich ma na lewem ręku powyżej łokcia, a starosta dański stoi w progu chaty i z wyrazem serdecznej zachęty sprasza ochotników do kieliszka. Obrazu dopełniają skrzypek i cymbalista siedzący pod drzewem, a stary dziadus i przy nim młoda drużka z przyby przypatrują się ognistej szumce.

Dziadus przypomina sobie dawne czasy, a dziewczyna marzy o tem co to kiedyś będzie, jak jej *rańtuchem* przykryją głowę. Wszystkie wybitne cechy ludu Pobereża są bardzo trafnie oddane. Patrząc na tę grupę, zdaje się nam że jesteśmy uczestnikami wesela tego ludu, który w biedzie i pracy poddańczej przypiewuje sobie:

Choć nahajka plecy reze,
Niema jako Pobereże.

Ant. Wien.

DWÓCH WŁOCHÓW.

SILVIO.

Już siedm lat przemija
Od tej morskiej wędrowki,
Okręt ciągle przybija,
Odpływa, jak placówki.
I tak długo z pokładu
Nie zstąpiłeś na ziemię,
Ani stopy twej śladu
Nie wcisnąłeś w jej brzemie.
A gdy statek wichrami
Blisko lądu niesiony,
Sasiadował z górami
Żaglowemi ramiony,
Nie zabiło ci serce
W tęsknoty choć iskierce?
A gdyś w mglistej oddali
Morską oka potęgą
Ujrzał wytrysłe z fali
Lasy zieloną wstęgą,
I w łagodnym powiewie
Poczuł lesiste wonie,
Czyż po ojczystych puszczach
Nic nie drgnęło ci w łonie?

ANTONIO.

Już siódme lato płynie,
Jak noszą mnie te fale,
I jeszcze siedm przemienie,
Ja nie zatęsknię wcale.
Dopóki mię z wybrzeża
Nie zaleci nowina,
Że ludzkość w dzwon uderza,
Że się wznosić zaczyna,
By mścić się nad tą raną,
Co z Palermu upadkiem
Goniącej sił ostatkiem
Italii zadano—
Póty lasy i góry
Próżno wzywać mnie będą,
I próżno ptaszak chmury
Na masztów szczytach siedzą.
Ni we mnie gór drożyny,
Ni słodka lasów cisza,
Ni alpejskie doliny
Będą mieć towarzysza.
I zginię krwawą dłonią
Tęsknotę za powrotem,
I zrenice nie zronią
Łzy ni teraz, ni potem.
Tutaj żyję z falami
I z wolnych wichrów tchnieniem,
I widzę dni za dniami
Znikające złudzeniem!
Tutaj z rodaków gromem
Pędzę wspomnień godziny,
Co w boju uświęconym
Zgon znaleźli za czyni!

SILVIO.

O ciszo niezgłębiona,
Wśród morskiego spokoju!
Tu wieczność swe ramiona
Wyciąga do nastroju.

Od wiatrów zapomnieni
W tém olbrzymim wód kole,
Możem w całej czuć rdzeni
Odosobnienia bole.

ANTONIO.

Niebo nieme, posępne,
To obraz mój ojczyzny,
I jej tylko dostępne
Starych ran—nowe blizny.
Ciche dno mórz topieli,
Gdzie nie czuwa już fala,
Jest jak nasze ostatnie
Pobojowisko zdala.

SILVIO.

Kto na cierniach lub bagnie
W beczynnej trwa katuszy,
Ten wiecznie szczęścia pragnie,
Wiecznie pierś bólem suszy.
O dziwny marzycielu!
Jakieby cię uczucie
Owładło, gdyby z wielu
Ptaszak, co w swojskiej nucie
Hymn boleści śpiewały,
Jeden ojczyście skały,
Wonne gaje porzucił,
I z gnuśnej beczynności
Marzyciela ocucił?
Gdyby ci pieśń zanucił,
Jak bracia bój staczają,
I jak wśród krwawej walki
Ciebie tęsknie wzywają.
Ty tymczasem wygnany,
Skrępowana twa wola,
Zewsząd ci sine piany,
Martwe morze okola.

ANTONIO.

Płaszyna nie przyleci
Śpiewać jak bój staczają,
Ni jak ojczyzny dzieci
Mnie do walki wzywają..
Lecz gdyby—jabym płakał,
Raz jeszcze się zasmucił,
A potem niecierpliwie
Na dno morza się rzucił.
Duch od więzów swobodny
Pospieszyłby do boju,
Świecić gwiazdą mym braciom,
Pośród dymu i znoju.
Wrogowi, co w ciemności
Chciałby się skryć przed bitwą,
Zdarłbym z ramion płaszczy dymu,
Odsłonił kul gonitwom.
Pociski moich braci
Wśród biegubym kierował,
Ażeby się grot każdy
W sercu zanurzył, schował.

SILVIO.

Już wiatrów silne tchnienie
Chmur obłoki zgromadza;
Może właśnie w tej chwili
Italia się odradza.

ANTONIO.

Żwawo sterniku, żwawo!
Do Italii brzegu
Kieruj bystro twą nawą,
Nie zatrzymuj się w biegu!
Wszechpotężne przeczucie
Gna mnie w ojczystej stronie,
Ono w słowiczej nucie
Wskazuje cel obrony.

Wincenty Raczyński.

ZAMEK W BENDZINIE.

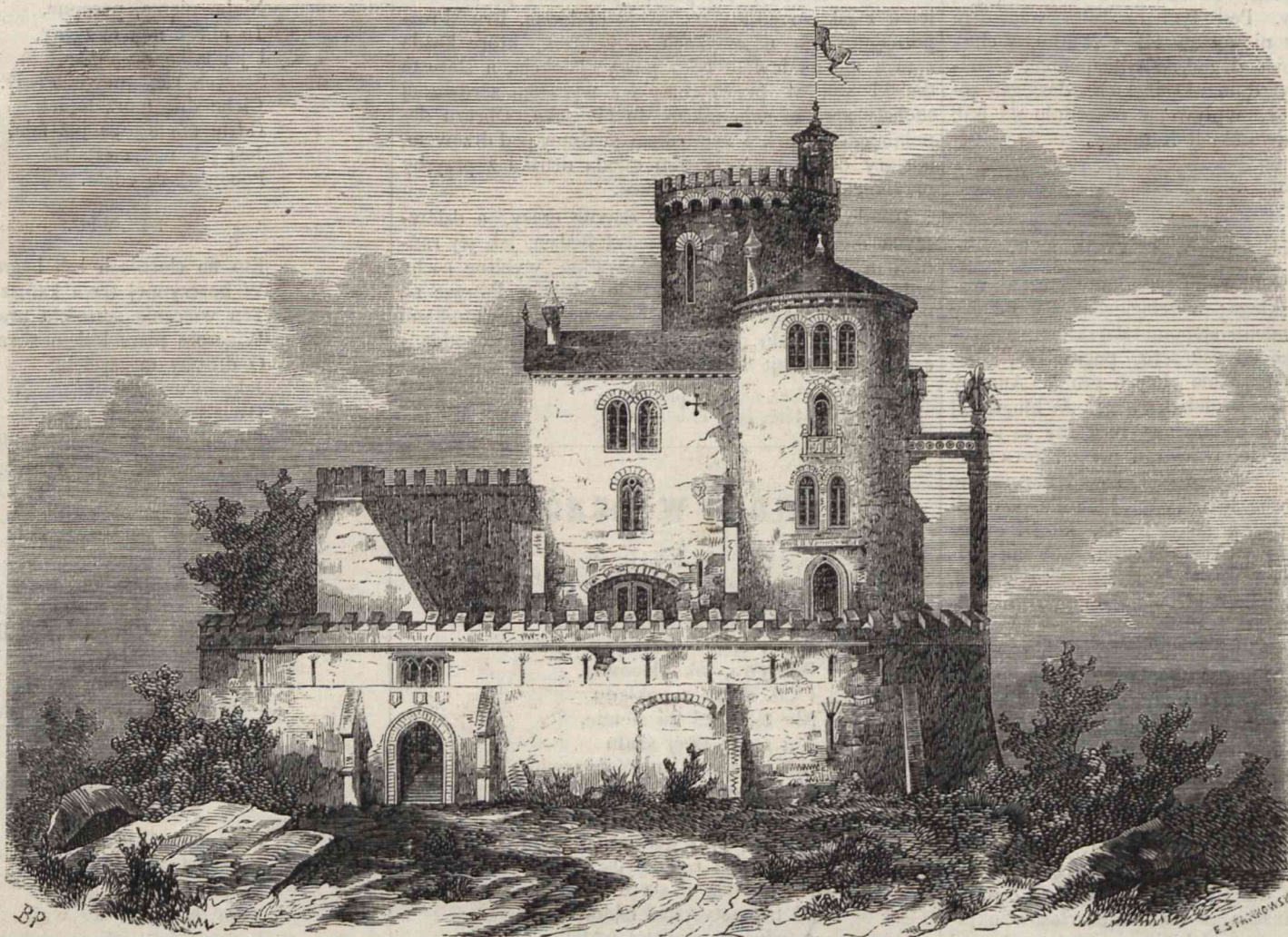
Dojeżdżając koleją żelazną do Dąbrowy, zdaleka widzieć się dają wysokie wzgórza, a na nich jakby w obłokach zawisłe, bielejące się świątynie i szare ruiny zamków starożytnych. Taką jest niemal wszędzie uroczą i pełną pamiętek historycznych okolica olkuska, rozpoczynająca się z tej strony odwiecznym Bendzinem, co niegdyś był miastem ludnym i bogatym, a dziś brudny, z biednych chat złożony, smutnie przegłąda się w czystym kryształ wód rzeki Czarniej Przemszy, wężykowato pod stopami jego płynącej. Miasto założył Kaźmirz Wielki w roku 1358,

obdarzył przywilejami i na silną warownię zamienił. Część potężnych murów opasujących go w około stoi dotąd jeszcze, przy wjeździe od Dąbrowy, służąc za podporę dla mnóstwa drobnych lepiarek i klitek terazniejszy Bendzin składających. Jedyną tylko pozostałością z dawnej warowni jest górna jej część, co mallowniczo sterczy na krańcu długo, jak wał olbrzymi, ponad Przemszą, ciągnącego się wzgórze. Jest to ów zamek bendziński co na skalistej górze od strony zachodnio-północnej wznosi się nad miastem, a którego opis i wizerunek w obecnym jego stanie podajemy. Zamek ten jest nierównie od miasta dawniejszym, wystawił go bowiem Bolesław Wstydlawy około połowy XIII wieku, a w sto lat potem Kazimierz Wielki z miejscowego kamienia odmurował i fosami głębokimi wzmocnił. Był to gmach zarazem obronny, okazały i obszerny, ażąd przeznaczano kilkakrotnie na miejsce do zawierania ważnych traktatów, lub na zebrania znakomitszych gości. Tu między innymi w roku 1434 zjechali się sławni Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski, oraz wielu panów radnych, tudzież książęta raciborskie, opolskie, cieszyńskie, oświęcimskie, dla ukończenia ostatecznych układów, aby położyć tamę najazdom Szwabów na pograniczne miasta. Tu w r. 1574 witany był Henryk Waleczny, gdy do Polski na objęcie ofiarowanego mu tronu przybywał. I znowu w r. 1589 mieścił w sobie zamek bendziński ważny zjazd komisarzy, na czele których byli: Jan Zamojski kanclerz i hetman wielki koronny, Jędrzej Opaliński marszałek wielki koronny, Hieronim Rozdziewicz biskup krakowski i kilku innych ówczesnych dostojników, kiedy to rokowano z posłańcem cesarza

Rudolfa II o usunięcie pretensji brata jego arcyksięcia Maksymiliana do tronu polskiego, i w końcu zawarto układy zwane paktami bendzińskimi, na mocy których Zygmunt III królem polskim uznany, a wzięty w niewolę pod Byczyną arcyksiążę z zamku krasnostawskiego uwolniony został.

i wysoka okragła wieża pozostały. Baszta ta i równy jej co do wysokości czworogranny gmach z grubych na sześć murów, tudzież niewielki dziedziniec, również grubym a wysokim na jakie 5 do 6 szańców otoczony murem, tworzyły jądro zamczyska. Drugi mur, niższy o połowę, okrążał je naokoło w odległości kilku

zaledwie łokci, panując bezpośrednio nad spadkiem wzgórza, i parowem oddzielającym zamek od całego wierzchołka góry. Dwie bramy, bronione wysokimi parapetami, prowadziły do środka od strony rzeki; od strony zaś miasta nad parowem wznosiła się dotąd istniejąca, rzucona na arkadach, olbrzymia murywana kładka na półtora łokcia szeroka, tak, że pojedynczo tylko przechodzić ją było można. Wszystko to wzniesione jest z wapiennego kamienia, który przez działanie czasu odwianej nabrął barwy. Jak wiadomo, ocalenie tego gmachu od ostatecznej ruiny winniśmy znanemu



ZAMEK W BENDZINIE. (Rysował Podbielski podług litografii Sommera.)

mu mecenasowi polskiemu, Edwardowi hrabiemu Raczyńskiemu, który bawiąc w tych stronach jako komisarz rządowy, w celu podniesienia górnictwa krajowego, postanowił upadający zamek bendziński podźwignąć, pragnąc zachować późniejszym czasom ten piękny zabytek dawnego naszego budownictwa. Jakoż w roku 1834 wyrestaurował go podług planu budowniczego Franciszka Lanci i na nowo do mieszkalnego doprowadził stan. Zamek zyskał przez to dosyć schludną powierzchowność, ale wieżę znacznie niższą musiano, aby do nowego planu była stosowna. Pierwotnie miała w nim być umieszczona szkoła górnicza; ale gdy do tego nie przyszło, przeznaczono go na szpital i kaplicę dla wyzna-

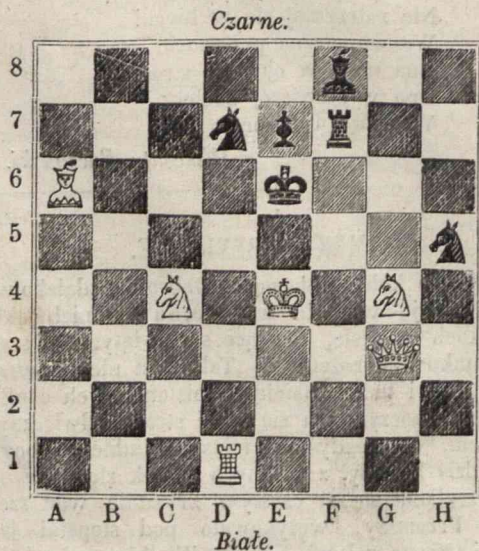
(Ob. Dod.)

SZACHY.

ZADANIE LXV.

(Stan. Gr. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mat za trzecim posunięciem.



Monogram ukryty w szachownicy, a podany do nagrody w ostatnim numerze naszego pisma, brzmi jak następuje:

Zowie się figlarz; gdy moje litery,
Zmieszasz i dodasz samogłosek cztery,
A potem w taki ułożysz porządek,
Jaki dyktuje i sens i rozsądek,
Wypadnie sztuka bardzo czasami
Wzięta pomiędzy literami.

(Znaczenie monogramu: F r a z e o l o g i a).

Z Warszawy dobre rozwiązania nadesłali: p. p. Z. S., S. G. i S. T.; z prowincji: p. p. L. Z. w Piotrkowie, W. P. w Kaliszu i H. Z. z pod Sochaczewa. Pomiędzy mylnymi rozwiązaniami było kilka odpowiadających wprawdzie warunkom literalnym zadania, ale niezgodnych z jego określeniem, jak: zoilografia, zeliografia, zeleografia i t. p. Z Warszawy p. p. wygrający raczą oświadczyć się do kantoru wydawcy Tygodnika po wybór książek; z prowincji zaś zechcą wypisać je, w odpowiedniej wartości, z katalogu wydrukowanego na okładce tegorocznego kalendarza J. Ungra i spis ten, wraz z dokładnym adresem, przesyłać franko do redakcji Tygodnika.

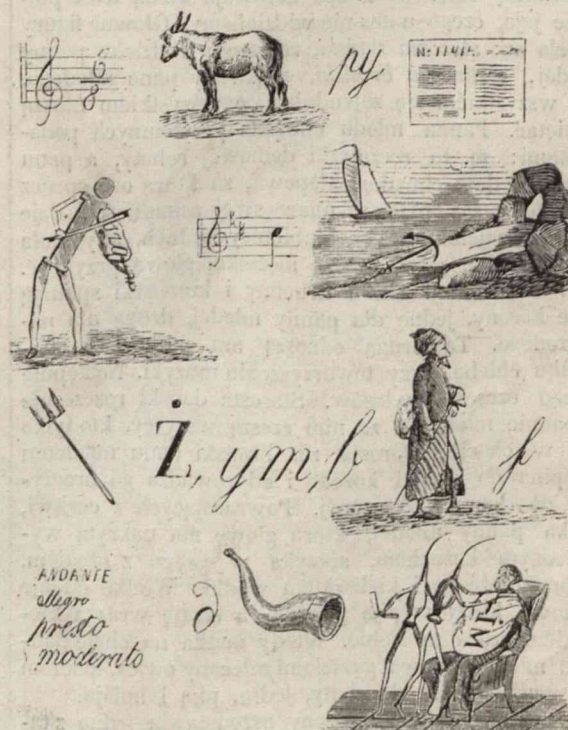
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 64.

- | Białe. | Czarne. |
|-------------------------------------|--------------------|
| 1) G 3 — H 5 ÷ . . . | 1) F 6 — F 7 |
| 2) B 5 — F 5 biorą ÷ . | 2) E 6 — F 5 biorą |
| 3) F 4 — C 4 biorą ÷ . | 3) F 7 — F 8 |
| 4) D 6 — D 7 ÷ . . . | 4) Jakkolwiek |
| 5) D 7 — E 8 biorą (wieża) ÷ i mat. | |

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 87.

Czyż nie warta nagany i pogardy postawa układowa oszusta?

REBUS.



(Dodatek.)

nia ewangelickiego; dziś i jedna i drugie zład usunięte zostały, a stojące pustką budynki na nowo upadły w ruinę. Kilkadziesiąt kamiennych stopni prowadzi do jedynej bramy w murze opasującym szczyt góry; wysokość tego muru w niektórych miejscach ledwie 7 do 8 łokci wynosi. Przebywszy bramę, idzie się znowu po kamiennych schodach na dziedziniec zamkowy. Czworoboczny dwupiętrowy budynek, blachą cynkową pokryty, ogromna okrągła wieża z blakami, całość teraźniejszego zamku stanowią. W gmachu na dole i na piętrze znajdują się cztery obszerne sale, wieża zaś wewnątrz jest zupełnie pustą i niewykończoną. Zewnątrz umieszczone wschody prowadzą do pierwszego piętra, na drugie trzeba się pięć po drabinie. Pomost drewniany wiedzie z pierwszego piętra po nad głęboką fossą na mur zamkowy, z kąd znowu furtką na zewnątrz wyjść można. Przybyłemu na drugie piętro, z okien przesłizne odślaniają się okolice. W ogóle gmach ten, zbyt powierzchownie i niedosć trwale wyrestaurowany, jeżeli dłużej będzie opuszczony, prędko straci ślady ostatniego odnowienia. Już teraz szmaty cynku z dachów walają się po dziedzińcu, a rumowisko sypie się zewsząd; mnóstwo łat, krokwi, belek, pałapów i podłóg zerwanych zapelnia w dziwnym pozawieszaniu i spiętrzeniu od dołu do góry wnętrza starych Kaźmirowskich murów, w poważnej swej nienaruszonych sile. Pod całym zamkiem mają się znajdować przepyszne piwnice, w których dotąd, według utrzymującego się podania miejscowego ludu, pokutujące duchy zamieszkują, strasząc w nocnej porze przechodniów. Liczne tu o nich krążą legendy, ubarwione bujną, przesadą rozkołysaną wyobraźnią. Gdyby je kto zebrał, mogłyby do niejednej powieści dostarczyć zajmującego materiału.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

(Dokończenie.)

Niedawno pojawiające się na wystawie portrety i studia p. Horwitza, zasługują na szczególną uwagę. Pielgrzym, którego najpierw widzieliśmy, uderzył nas pojęciem ideału i energią wykonania zewnętrznego. Jest coś w tej fizjonomii nieokreślonego, jakaś smętna zaduma, niby cierpienie złagodzone rezygnacją, niby tęsknota za czemś nieznanym, słowem jakieś delikatne uczucie, nie dające się wyjaśnić, a jednak przywiązujące nas do siebie pewną mistycznością oddziałającą na wyobraźnię. Studium to p. Horwitza jest w oczach naszych wyrażeniem jednej z tych chwil życia artysty, w których dusza jego, rozdarta niepokojem, szuka jakiegoś ideału; ale ideał ten, nie dając się pochwycić w wydatne formy, przesuwają się widmem w wyobraźni jego i widmem wychodzi na płótno. Próżno wprawna ręka artysty zewnętrznie uplastycznia kształty; myśl z nich jasno nie wyjrzy, a obraz, obudzając zadumę, nie daje wyraźnego pojęcia rzeczy, ale tylko pojęcie niepokoju tworzenia. Nie czytamy na twarzy pielgrzyma śladów ubiegłego żywota, nie układamy dla niej przyszłości, myśl nie szuka go w koło siebie, nie marzy o spotkaniu, chociażby zaświatowym, ale pyta co się też stanie z uczuciami co wrą w łonie człowieka, z myślami co mu krążą po głowie. P. Horwitz jest poetą, dusza jego wyrwają się w krainy wyższe, wyobraźnia stawia mu przed oczyma święte postacie ludzkie, ale tym postaciom brak rzeczywistego, duchowego życia, niedostaje indywidualności.

Drugie studium tego artysty, wyobrażające głowę kobiety osłoniętą białą draperią, z małą różnicą też same zalety i wady przedstawia. Kobięta ta, energiczna i ponura, jest już wprawdzie rzeczyciwistą i indywidualną życie swe duchowe mającą istotą, ale oblicze jej całkowitej myśli nie wypowiada, ona nie jest wypełnionym w sobie dramatem, jakim bywają niekiedy figury mistrzów hiszpańskich, których jest przypomnieniem, ale częścią jakiegoś dramatu po za nią odgrywanego; oko też i myśl nasza szuka mimowolnie tego dopełnienia, a ta figura wyrazista i namiętna niepokoi nas, jak pieśń w połowie urwana. Do tych duchowych, ale jeszcze nie wyrobionych zalet, do tej poezji namiętności, dodajmy koloryt czysty, świetny i energiczny, a będziemy mieli wyobrażenie o talencie p. Horwitza.

Portrety tego artysty z wielkim życiem są malowane, zwłaszcza mniejszy, przedstawiający młodego człowieka w okrągłym kapeluszu; obok zalety życia, wiele tam poezji w wyrazie i układzie. Przeważnie jednak cechy jakie tu spostrzegamy są kolorystowskie.

P. Horwitz potęguje podobieństwo i charakter wyraźnie za pośrednictwem malowniczego światłocienia, który nietylko pozwala mu zdobyć wyborną plastykę, ale koncentrując uwagę na oblicze samo, daje niezwykle wrażenie życia i prawdy. Pomimo to jednak p. Horwitz bynajmniej nie jest w malowaniu naturalistą, to jest nie daje się pociągnąć zewnętrzniemi szczegółami, stanowiącymi pozór prawdy, owszem umie on doskonale zachować granicę pomiędzy naturą widzianą okiem zewnętrznym, a idealizowaniem, które u niego jest rzeczywistym, nie afektowanym i konwencyonalnym. W wykonaniu szczególniejszego portretu młodzieńca w kapeluszu, widzimy to artystyczne pojęcie życia, naturalność i wdzięk swobodny, zgodę charakteru oblicza z jego ruchem i wyrazem. Ostatni portret p. Horwitza, jako artystyczne przedstawienie prawdy fizjonomii, stawiamy wysoko i pragniemy szczerze, aby pojęcie jakie mu towarzyszyło przy tej pracy stało się dla niego jedną z głównych zasad malowania portretu.

Ostatnie studia pana R. Stolzmana, wyobrażające dziada i babę, mniej przedstawiają oryginalności w wyborze typów i pojęciu charakterów, jak studia p. Horwitza. Malowane są wprawdzie starannie, nie brak im plastyczności w modelowaniu, ale rażący naturalizm w naśladowaniu daje tym twarzom coś tak niemiłego i nieodpowiadającego warunkom sztuki, że trudno patrzeć na nie bez pewnego wstrętu. Jakkolwiek brzydota może znaleźć pomieszczenie w sztuce, jeżeli wyraża namiętność poniżającą człowieka, to jednak brzydota bezmyślna, bezcelowa, obojętna, niepowinna zajmować uwagi artysty, bo choć najtrafniej pochwycona, nie przeraża, ale sprawia tylko zwyczajne obrzydzenie, sprzeczne z zadaniem sztuki. Co się dotyczy kolorytu, pragnęlibyśmy żeby p. Stolzman unikał tych laserowań asfaltowych, których przy wykończeniu używa, bo te nietylko brudzą i odbierają przezroczystość cieniom, ale nie łącząc się z półtonami poprzednio położonymi, tworzą odrębne, rażące plamy. Portret młodego mężczyzny pędzla tego artysty, o wiele przyjemniejszy jak studia jest traktowany; nie zbywa mu na charakterze, a szczególnie koloryt jest w nim przyjemny i łagodny. Pomimo jednakże uwag jakie zrobiliśmy p. S. z powodu jego naturalistowskiej tendencji w ostatnich studiach, nie możemy nieprzyznać mu ciągłego postępu i sumiennych poszukiwań na drodze sztuki, które muszą mu przynieść pomyślne owoce.

Odlew z gipsu p. Zbąskiego, przedstawiający jeźdźca tatarskiego uciekającego z dzirymem w rękę, wiele ma w sobie charakteru dzikości i swobody, właściwej synom stepu. Koń w pędzie ma wiele prawdy, jeździec w ruchu dobrze usprawiedliwia zapal konia, słowem cała kompozycja pełna życia i swobody. O ile jednak artysta szczęśliwie się wywiązał z tego pomysłu, o tyle słabo pojął figurę druciarza, reprodukowaną w odlewie gipsowym. W wykonaniu tego ostatniego typu, o wiele łatwiejszego, brakuje, jakby dla kontrastu, wszystkich zalet które odznaczają poprzedni; jest to figura zupełnie chybiona w charakterze, proporcji, rysunku i modelowaniu, i gdyby nie podpis autora, wcalebyśmy go o wykonanie tej figurki nie posądzili. Ale cóż czynić? musimy ją przyjąć za dowód, że artysta, jak każdy człowiek, czasem zachwiał się może i zakłócił harmonią pomiędzy myślą a czynem; wszakże bezpieczniejsze są upadki w sztuce jak w życiu.

Bitwa pod Obertynem, obraz p. Sypniewskiego, przedstawia stanowczą chwilę walki: Wołoch w rozpłyce, Polacy zwyciężają. Pierwszy wprawdzie rzut oka na obraz nie uprzedza nas o tem, bo na przodzie walka wre z całą siłą dogorywającej nadziei z jednej, blizkiego tryumfu z drugiej strony; ale gdy po chwili wzrok nasz oswoi się cokolwiek z tym zamętem bojowym, uderzają nas te dwa uczucia, w ruchu i fizjonomiach walczących oddane. Wypadek ostateczny staje się niewątpliwym; sledzimy już z pewną dumą obroty zwycięzców, a myśl bieży w głąb obrazu, chciała dopełnienia rozpoczętego dramatu. I dopełnia się on też w głębi; dwa obozy rozkładają się przed nami, zalegając dwa przeciwległe sobie wzgórza. Po lewej stronie widza stoi obóz polski, oszańcowany przekopami, obwarowany wozami; na najwyższym punkcie stoi przywódca i główny bohater walki, hetman Tarnowski, i w postawie spokojnej wydaje rozkazy; nie tłoczą się już w koło niego wojownicy, ostatnie rotę wyszły do boju, gracz rzucił ostatnią kartę, stanowiąc cios zadał wrogo. Opodal niego stojące działa, zda się na tryumf zwycięzcom zagrzmiały, bo na drugim wzgórku, w obozie nieprzyjaciela, strach zamiata i w szalonym pędzie gna przed sobą w nieładzie rozproszonych Wołochów hufce, a na osamotnionym i wywyższonym jak w pierwszym obozie punkcie, biały koń unosi wojewodę Piotra. Plan środkowy dopełnia har-

monijnie całości; po stronie polskiego obozu strzelcy wspinają się na stojące w porządku wozy, by skuteczniej razić nieprzyjaciela; wzgórek Wołochów opasał jak wąż, szarawy oddaleniem, szereg rycerzy polskich, zamykając odwrót jednym, a drugich pędząc przed sobą.

Plan bitwy, jej rozpołożenie, szczegóły nawet zgodne są z kroniką Bielskiego i w całej swojej zewnętrznej stronie ściśle historyczne. Artysta zadał sobie trud niemały w wyszukiwaniu i oddaniu zbroi, strojów i przyrządów bojowych przodków naszych, co wielką już jest zasługą w przedmiocie tak ważnym i dotąd przez nikogo w takim charakterze i na tak rozległą skalę nie traktowanym. Wszystko co się tyczy formy jest z właściwym poczuciem, a nawet z wiedzą oddane. Fizjonomie Wołochów i Polaków różnią się o tyle, o ile powinny się różnić dwa plemiona, wychowane pod wpływem odrębnych pojęć i różne w cywilizacji; różność ta pojawia się także i w rysunku bojowym, a nawet, lubo już nie tak wyraźnie i bez widocznej intencji, w sposobie napadu i odporu. Koloryt jasny a nie jaskrawy, niebo lekko pochmurzone i jakby tylko kurzawą i dymem toczącej się walki przyćmione, coraz chmurniejsze i cięższe ku stronie uciekających Wołochów, rozświetlone słońcem i ogniem wzgórze obozu polskiego, dopełnia dobrze ogólnej myśli. Strona wewnętrzna historii, albo inaczej mówiąc, duch bitew ówczesnej Polski, głównie na indywidualności oparty, nie tak już szczęśliwie pochwycony. Artysta sił w tem dopiero próbuje; to też wejrzenie duchowe obrazu cokolwiek mętne i nieokreślone, — i nie dziwnego, bo żadnego tu wzoru nie miał i nie mógł mieć przed sobą. Żaden z najpiękniejszych nawet mistrzów Europy wskazałby mu do tego podać nie mógł, bo żaden naród nie żył w takich jak nasz warunkach społecznych i politycznych; na tem polu wszystko samemu tworzyć, wszystko z własnego ducha i z ducha swego narodu czerpać trzeba.

Połowa życia narodowego ubiegła na polu bitwy, i tę połowę grube mgły zasłaty; zmieniły się obyczaje i pojęcia, a chociaż poetyczna legendowo-cudowna przeszłość tych bitew brzmi dotąd w sercu każdego, to z serca na jaw ją wydobyć, widomie przed oczy stawić, nader trudnym jest zadaniem. Znakomitą zaletą p. Sypniewskiego jest właśnie to rzucenie się na drogę tak trudną, ta sumienność oddania i to przeżucie wielkości traktowanego przedmiotu, które obrazowi nadały powagę, interes i znaczenie pod względem zarówno historycznym, jako i estetycznym.

W tych czasach zawitał także na naszą wystawę i gość z obcego kraju, gość strojny, barwny, wypieszczony, rozmowny, i jak to zwykle bywa u nas, przyjęty został z uniesieniem. Tym gościem jest obraz p. Mathysena, przedstawiający Callota francuskiego malarza, w więzieniu pomiędzy Cyganami. Malarz ten żył za czasów Ludwika XIII i Richelieu'go, kochał przedewszystkiem awanturnicze życie i gorące niebo Włoch, dokąd potrzykroć z kraju uciekał, a nakłoniony do powrotu przez podróżujących kupców nantejskich, nie chcąc zadosyć uczynić niesłusznemu żądaniu kardynała, wsadzony został chwilowo do więzienia, gdzie spotkał znajomą sobie dobrze w pierwszej młodości bandę Cyganów.

Do obrazu wybrana jest chwila, gdy Callot, nie życząc sobie być obdartym, daje się poznać Cyganom narysowaniem na ścianie więzienia wizerunku ich naczelnika, przed kilkoma dniami straconego, i złą poprzednią intencją, zamienia w gwarne i pełne dziekiego uniesienia powitanie.

P. Mathysen należy do szkoły antwerpskiej, opierającej się na tradycjach szkoły holenderskiej, jest uczniem słynnego obecnie rodzajowego malarza M. Leys'a, a przeważnie Ferdynanda Brackeleera, naśladowcę pieśczonej manierę Van Ostada. Szkoła ta odznacza się zrzecznością wykonania i w znakomitej wierności swojej unika ideału, jak jej prababka, szkoła flamandzka; mało dba o duchową treść przedmiotu, byle tylko mogła pokazać, jak wybornie używa środków złudzenia, jaką posiada cierpliwość, jak przeniknęła tajemnice starych obrazów i charakter wieku szesnastego. Wielu z jej artystów do tego stopnia odtworzyło przeszłość flamandzką, że szkoła zdołała, tak się wzięło w treść i formę swych narodowych utworów, że zdają się być zablakaniem przypadkiem w nasze czasy istotami.

P. Mathysen, wierny swemu szkole, nie troszczy się o duchową treść przedmiotu; chwila w obrazie przedstawiona jest całkiem przypadkową i nie znaczącą. Przypadek wtrącił Callota do więzienia, przypadkiem poruszył się tłum Cyganów, przypadkiem wpadł do więzienia, niewiadomo z kąd, jakiś wiatr gwałtowny i szamocący ich barwną odzieżą i kruczemi włosami. Ale po co oni stoją przed nami w tej mało-

wniczej, na poły dramatycznej, na poły komicznej postawie? na co ten ruch szalony, to dzikie uniesienie? Jestże to żal za straconym wodzem, lub serdeczne powitanie dawnego towarzysza? O nie, bynajmniej, wszystkie te figury, tak charakterystyczne strojem i zewnętrznym wyrazem fizjonomii, nie nie mówią; próżno szukasz w ich twarzach jakiegokolwiek głębszej myśli, wzbudzonych wspomnień, uczucia zemsty, żalu, radości, wesołości lub gorzkiej ironii; te tłumy udają tylko dzikie życie Cyganów, namietność co nimi porusza w tej chwili, igra po wierzchu odzienia, po wierzchu twarzy; Callot wpadł pomiędzy nich tylko na żarty. A jednak, jakąż tu bogata forma, z jaką tu miłością słońce pieści oblicza tych ludzi, barwi ich łachmany, złoci ponure mieszkanki, jak tu każde ździebelko słomy, każdy sprzęt uwydatniony, uosobiony prawie, i jaka szkoda, że to cudne słońce do głębi istoty tych ludzi wdrzeć się nie zdołało, nie wywołało chociażby lekkiego objawu duchowego ich życia, że ci ludzie, to tylko żyjące sprzety!

P. Mathysen posiada niepospolity talent, wysoką technikę; pędzel jego delikatny, pieścizony, a jednak energiczny, zdolny jest oczarować powierzchownie na sztukę zapatrzących się ludzi, słońce jego obrazu może olśnić wzrok patrzącego, ale nie rozgrzeje mu serca, nie rozbudzi myśli. Od tego zabłąkanego do nas gościa wiele nauczyć się nie możemy, raz że szkoła antwerska żyje wyłącznie przeszłością, niepomna że ta uwielbiona przez nią przeszłość nie ograniczała się jednym tylko momentem czasu; że owe sławne Flamy, z taką pieśczętą zwyczaj i obyczaj kraju swego przedstawiające, były najwyższym wyrazem swego społeczeństwa i dlatego też doczekały się przyszłości; niepomna że każdy żyć za siebie i przez siebie powinien, a żyć wspomnieniami, jestto żyć czemś zapożyczonym z własnej lub drugich przeszłości, życiem starca, co już obrachunek swój ze światem skończył i niczego już dać mu nie może. Na tej drodze dla samych nawet krajowców, czyli inaczej mówiąc dla szkoły antwerskiej, niema przyszłości, a tém bardziej dla nas. Ponętnego, błyszczącego sposobu malowania P. Mathysena naśladować nie możemy, bo kiedy taki sposób w jego ręku nie zdołał wydobyć na jaw treści duchowej, czegoż dopiero spodziewać się mamy od naśladowcy. Ale przypuściwszy nawet że los sprowadzi do nas arcydzieła tego rodzaju, z całym świeżym, duchowym pierwiastkiem Hollandyi, to i tak polski artysta może się nimi zachwycić, podnieść ich widokiem potęgą twórcze swego ducha, ale naśladować ich, pod karą zagubienia samoistności, nie powinien; bo inne są całkiem warunki bytu naszego.

Czyż więc, prócz techniki, niema już innych zalet w obrazie p. Mathysena? O nie, jest tam jeden ton piękny, wielki, z narodowych wspomnień wyjęty, — tym tonem jest promień południowego słońca, którym przyszył malarz sławnych wycieczek Ukraińców na Carogród, oświecić powinien twarze naszych bohaterów. Holendrzy wyczerpnęli go ze wspomnień morskich podróży; Polacy niech ich w tej żywości wspomnień naśladowują.

L. Buszar.

NA PLACÓWCE.

WSPOMNIENIE ŻOŁNIERSKIE.

PRZEZ

T. T. Jeża.

(Ciąg dalszy.)

— Stój!... kto idzie?... huknął sztyldwach przed placówką.

Pogadanka została natychmiast przerwana i uwaga wszystkich zwróciła się na to, co się zewnątrz działo. Po chwili znów się zaczął gwar. Pokazało się bowiem że to był jakiś mimo ciągnący patrol, który udał się do miasta.

— Il tylko nam przeszkadzają!... odezwał się jeden z żołnierzy. A już tak dobrze szło... Teraz znów trzeba z początku rzecz zaczynać.

— To nie ciekawe, że Godfryd pożałował żony bliźniego... rzekł ten sam, co się śmiał na wspomnienie myślowych ex-elegantów grzechów. — Ciekawym jest ten, komu żonę pożąda...

— Ciekawszym jeszcze jest ten, komu pożąda ją tę, co ma być żoną... wtrącił Józef.

— Dlaczego?... Czy mu się gorzej dzieje?... zapytał pierwszy.

— O, gorzej!... odpowiedział Józef. Bo żona, jeżeli jest dobrą i uczciwą, jeżeli zna swoje obowiązki, jeżeli mąż jej ufa i jej zaufanie posiada, to niech ją cały

świat pożąda, mąż może być zupełnie spokojny... Nie to z tą, co dopiero ma zostać żoną... Na tę, niech ktoś jeden rzuci okiem, a cały spokój zakłócony...

— A jeżeli ta kocha... wtrącił.

— Kocha!... podchwycił Józef i ręką machnął. Prawdziwa miłość tylko książkowym istnieje sposobem... Nie znaleźć jej na zewnątrz romansów...

— Al... odezwało się przeciągle, z akcentem powątpiewania, kilka głosów.

— Nie al... odpowiedział Józef, ale tak jest... Czy który z was kochał się?...

— O! czemu nie!... zawołał ten i ów...

Wszyscy którzy odezwali się, byli młodemi chłopcami. Pomiędzy niemi był i Godfryd.

— Tak się wam zdawało... rzekł Józef. Jesteście młodzi; zesłicie się z młodemi dziewczętami, krew w was zagrała, i oto wasza miłość... Nie mogliście, bo nawet i czasu w waszym życiu nie mieliście, poczuć potrzebę miłości moralnej, potrzebę zlania dwóch ludzkich dusz w jedną harmonijną całość, stowarzyszenia dwóch serc w uczuciową jedność, nierozdzielną ani tu, ani tam...

Tu pokazał palcem na podłogę i na sufit, co oznaczało:

— Ani na ziemi, ani w niebie...

Zamilkł na chwilę i wszyscy milczeli. Potem lekko westchnął, rozgładził wąsy, zaciągnął się z fajki, wyrzucił z ust kłęb dymu i tak dalej prawil:

— Znaleźć można kochając się małżeństwa. Jak one do kochania przysły? Oto: wyrozumowały sobie, że inaczej być nie może. Trzeba się kochać; więc się kochają, pomimo że nierzadko jedno i drugie wieleby za to dało, gdyby się im przedślubne mogły wrócić czasy. Dlatego też taką miłość nazywają przywiązaniem. Przywiąże szlub męża do żony i żonę do męża i — skończyło się... Odwrót przecięty, rejterada staje się niemożliwą, więc — kochają się. Ale... co po takiej miłości!

Tu machnął ręką i znów się fajką zaciągnął. Chciał coś swego wtrącić, lecz Józef mu nie uprzedził:

— Według mnie miłość nie z przywiązania, ale z wewnętrznej potrzeby zespolenia się moralnego płynąć powinna, z tej potrzeby, którą każdy z nas przedź czy później czuje, ale zaledwo jeden na milion taki się znajdzie szczęśliwy, że ją zaspokoić zdoła... O zaspokojenie jej staramy się wszyscy, ale... ale... tyle tych „ale“ czepia się ze wszech stron, że samo staranie nęka nas i łamie przed czasem...

— To lepij się daremnie nie starać... ktoś wtrącił.

— A lepij... odpowiedział Józef. Tylko trzeba być o daremności z góry uprzedzonym...

Gadanina ta komendanta placówki była wstępem do jakiegoś opowiadania, które miało ją jako przykład ostatecznie wyjaśnić. Wszyscy to rozumieliśmy i dlatego cierpliwie słuchaliśmy rozmowa. Jakoż doczekaliśmy się końca i takie rozpoczęło się opowiadanie:

— Wielu z was znajomym być musi nazwisko Rubnickich, a kto zna to nazwisko, to wie, że wszyscy Rubnicy są potomkami człowieka, który przybywszy niewiadomo z kąd, bez grosza i bez sumienia, w mroku nieszczęść krajowych dorobił się grubych pieniędzy, kupił za nie dobra, tytuł baronowski i stał się głową arystokratycznej a wielce rozrodzonej rodziny, rodziny posiadającej majątki na Podolu, pod Lwowem i pod Krakowem.

Jeden z synów jego, osiadły w pobliżu Karpat, miał liczne potomstwo, które pod względem wychowania, podzielić należy na dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa.

Pierwszych było sześciu, trzech synów i trzy córki. Synowie wykierowali się na wielkich, kosmopolitycznych panów, z córek dwie wyszły za niemieckich frajherów, a jedna za niemieckiego hofrata. Cały ten gatunek do niczego: nadęty a głupi.

Drugi gatunek jest trochę lepszy, chociaż i w nim formy przeważają nad treścią. Składa się on także z sześciu osób, pomiędzy którymi dwie płci białej a czterech mężczyzn. Drugi ten gatunek odznacza się piękną kształtów, a w całej grupie najładniejszym jest najmłodszy, baron Ludwik Rubnicki.

— Który ożenił się z panną Pauliną Waborską... podchwycił Godfryd.

Józef skinął głową na znak potwierdzenia i zapytał:

— Znasz ich?...

— O!... zawołał Godfryd. Barona z widzenia, ale baronową... doskonale...

„Doskonale“ wymówionem było ze szczególnym przyciskiem.

— Prawda, że na wejście dobrana para?

— Śliczna para... odpowiedział Godfryd.

— Na pozor dobrana, ale tylko na pozor... ciągnął Józef, chociaż w pierwszych chwilach pobrania się tych dwojga ludzi wcale na co innego się zanosilo. Zda-

wało się że to będzie cudo, nie para. Baron zakochałym był po uszy, a panna Paulina stała na wysokości i poważnym stanowisku dobrowolnie poświęcając się ofiarę.

(Tu Józef westchnął i ręką po twarzy, od czoła zaczynając, pogładził, jakby dla spędzenia z oczu jakiegoś obłoku).

— Panna Paulina nie kochała barona Ludwika. Dziś mówią o niej ludzie wiele złego, ale to wszystko nieprawda.

— Hm!... chrząknął Godfryd sceptycznie, i chciał coś zacząć w tonie zaprzeczenia.

— Nie przeszkadzaj! zakrzyknęto na niego.

Godfryd zamilkł, a Józef dalej rzecz prowadził:

— Panna Paulina była ubogą dziewczyną i od dzieciństwa sierotą. Z tytułu dalekiego jakiegoś kuzynostwa wychowywała się u hrabiny Zduńskiej, której dom był swego czasu we Lwowie jednym z najświetniejszych i z najbardziej zepsutych. Wszystko tam podówczas zależało na *decorum* i regulowało się według urzędowo-wielko-swiatowego tonu, który jakowąś zgnilizną moralną na wskrós przenikał wyższe sfery towarzysztwa. Fałszywa pobożność panowała nad sumieniami, a bezsumiennosc rządziła postępowaniem, za które pokuta odkładała się do jutra, na czas nieograniczony, a tymczasem pluskały grzeszne rybki w brudnej i mętnej wodzie.

Hrabina Zduńska była właśnie taką rybką. Nabożna do bigoteryi, a zepsuta do szpiku kości, widząca w świecie dwie tylko rzeczy, kościół i salon, i wedle tych dwóch rzeczy kierująca kroki swoje, zdemoralizowała od dzieciństwa synów i córki, w których i w które wpoila to przekonanie, że salon i kościół są na to, aby utrzymać równowagę społeczną, że wszystko według jednego i drugiego regulować się w świecie powinno, że po za niemi człowiek ani znaczenia, ani zbawienia nie ma i mieć nie może. Ponieważ jednakże kościół ma swoje prawa, a salon swoje, a prawa te niezawsze harmoniują ze sobą, więc trzeba je godzić, umiarkować i rozsądnie, na drodze wzajemnych koncesyj, tu trochę urywać, tam trochę dodawać, czyli: jedną nogą stać tu, drugą tam, czyli: grzeszyć, jeżeli grzech taki ma powab, że mu oprócz się trudno, ale za grzechy żałować, wypowiadać się, wymodlić i swoje, jak się robiło, tak robić.

O cém inném najmniejszego hrabina wyobrażenia nie miała. Wszystko inne uważała jako rozrywkę, dobrą lub złą, stosownie do tego jakim sposobem to i owo drażniło, sposobem pochlebiającym lub niepocholebiającym miłości własnej, dogadzającym lub niedogadzającym zachciankom wielkiej pani, przyjętym lub nieprzyjętym w wielkim świecie. Do kategorii tego rodzaju rozrywek liczyła się i literatura, wyłącznie, rozumie się, francuska, bo o polskiej hrabina ani domyslała się, aby istniała. Księgarnie, które widywała we Lwowie przez okna swojej karety, kładła na równi z owami budkami, w których sprzedają pierniki dla motłochu, nie będącego w stanie zdobyć się na ciastka. Ciastkami były w mniemaniu hrabiny książki francuskie, a piernikami polskie.

Tém co hrabina, z pewnemi w szczegółach modyfikacyami, byli i jej synowie i córki. Pożeniło się to, powychodziło za mąż i pozajmowało w towarzystwie miejsca, na których ludzie rozumni i prawi mogliby dużo zdziałać dobrego, oni zaś byli figurantami, błaznującami przed światem i wstyd przynoszącami imionom które nosili.

Hrabina, pozostawszy samą, dla towarzystwa i na wychowanie wzięła ubogą kuzynkę. Paulinka Waborska miała czternaście lat, kiedy do domu pani Zduńskiej przybyła. W głowie jej już się roilo, trzeba bowiem wiedzieć, że nie była zupełnie zaniedbaną i miała jakie takie początki, i nienajgorsze, bo umiała, obok katechizmu i historii świętej, arytmetykę, historię i grammatykę polską, geografią powszechną i polską. Katechizm i historia święta zostały we Lwowie uznane, a na resztę skrzywiła się hrabina i zastąpić to kazała francuskim językiem i muzyką. Guwernerowie chodzili codziennie: dwóch Francuzów i jeden Niemiec, z których pierwszy uczył Paulinkę modnego języka, drugi muzyki, trzeci klasycznych nauk, to jest historii cesarstwa austriackiego, albo raczej dziejów panującego domu, a oprócz nich był jeszcze czwarty i piąty, do malarstwa i tańców, szosty do śpiewu i siódma guwernantka, obowiązana być z panią nieodstępnie i mówić z nią po francusku. Siedm więc głów składało się na to, aby przyzodobić we wiedzę główkę biednej sieroty. Paulinka robiła zadziwiające w naukach postępy. Zapomniała czego się nauczyła na wsi, i tylko niby przez sen snuły się jej niekiedy po głowie jakieś podzwiewki ojczyścijszej edukacyi; ale za to, w przeciągu trzech lat, płynnie i bez akcentu mówiła po francusku, biegle gra-

ła, nieźle śpiewała, trochę malowała i wybornie tańczyła. A te jej wiadomości odbijały na tle naturalnych zdolności, niepospolitej piękności, jakimi hojnie była obdarzona, i odbijały doskonale. Kiedy hrabina pokazała ją wielkiemu światu, to świat ten wydał okrzyk podziwiania. Pleć mężka, od ekscelencyów zaczęwszy, a na prostych *chevalier*ach skończywszy, z otworzonymi stanęła gębami, pełna podziwu i pochwały. Pleć żeńska nie była w stanie, pomimo najszczerzej a niezmyśloniej chęci, zaprzeczyć wyższości panny Pauliny nad sobą. *Mademoiselle Pauline* zakrótowała na cały tydzień, to jest póty, póki nie dostrzeżono, że pod tą błyszczącą i świetniejącą powierzchownością, ukrywają się pustki.

Pustki! powtórzył Józef i głową pokiwał. Ona miała bogate serce i bogatą duszę, ale nie miała ani grosza posagu. Hrabina wychowała ją dla wielkiego świata, na pastwę, bo Paulina nie mogła mu krociami złotych zaimponować, a ten świat, gdzie kroci nie widzi, tam widzi pustki... Otoczono ją, jak udały obraz na wystawie. Jedni się jej przypatrywali, a drudzy chcieli ją byli... kupić, bądź na mebel, bądź na chwilową zabawkę. Starzy młodzieńcy i młodzi starcy obłoczyli ją z przymilającymi uśmiechami, i łudzili, kusili, podmawiali, targowali, a hrabina nie oznajmiała, że jej kuzynka nie była na sprzedaż. Przeciwnie, mówiła:

— Bardzobym rada dobrze Paulinę wydać za męża.

To znaczyło:

— Kto da więcej!

Następcą się rozmaici, a najwięcej Niemców i Węgrów od wojska. Ci pannie Paulinie nieodstępnie służyli, nastawiając się mundurami i brzękając ostrogami. Ułani, huzary i szwoleżery śladem za nią chodzili, tłumnie salony hrabiny napelniali i szyldwachowali pod jej domem. Biedna dziewczyna była olśniona. W oczach jej migotało, w uszach szumiało, w głowie się kręciło; spoglądała w tłum ciekawie, szukała duszy i serca, a natomiast znajdowała... pustki.

Niepodobna jednakże, aby ta wonna ale zatruta atmosfera salonu, jaka ją owiewała, nie miała wywierać na nią jakiegoś wpływu. Otaczały ją same zwierzęce istoty; codzienne i nieustanne ich zabiegi nie mogły nieoddziaływać na materyjalną stronę niedoświadczonego dziecka.

— Zmieniał!... zawołał szyldwach z nadworu.

Józef sięgnął w zanadrze po zegarek i popatrzawszy, rzekł:

— Pierwsza... Trzeba luzować warty.

Nie mam potrzeby opowiadać, jak miła ta wiadomość była dla tych, na których kolej wypadała.

— Chwała Bogu, że nie na mnie kolej!... rzekł Godfryd. A to żalby mi było nie dosłuchać historii o baronowej Rubnickiej...

Tymczasem odzywały się wołania:

— Wstawaj!... wychodź!...

Niektórzy ociągali się, inni bardzo jakoś powoli poprawiali na sobie lederwarki i upinali tornistry. Kapral, mający rozproządzić wedety, naglił, Józef ze swojej strony naglił, powstało chwilowe zamieszanie, które skończyło się wyjściem oddziału na złuzowanie wart przeznaczonego.

Na dworze słyszeć się dała komenda:

— Na ramię broń!...

Karabiny brzęknęły.

— W pra-wol!... Do woli broń!... krok podwójny... marsz!...

— No, z Panem Bogiem!... rzekł Godfryd. Teraz już będzie na jaką godzinkę spójność...

I zapytał, zwracając mowę do Józefa:

— Cóż dalej?...

Józef ścisnął ramionami.

— Ja bo jestem bardzo ciekawy, bo baronowa zemna...

— Niechże Józef kończy!... ktoś przerwał.

— Kończ, Józefie!... odezwał się inny.

— Poczekajcie!... odparł Józef! Niech trochę odpoczną. Zaczekamy aż wrócą zmienieni z wedet, to wówczas zupełnie się uspokoi...

Powiedziawszy to, podparł głowę rękami, zamyslił się i oczy w ogień wlepił. Patrzył na niego. Był jakiś smutny. W posagowej nieruchomości siedział milcząc póty, póki okrzyk szyldwachu nie oznajmił powrotu złuzowanych. Wówczas wstał i wyszedł, i inni usunęli się wszyscy od ognia, a do izby weszło kilku zziębniętych, którzy natychmiast rzucili się do komina.

— Co tam słyhać nad brzegiem?...

— Al... cicho!... odpowiadali nowoprzybyli. Mróz coraz lepszy pociska... i tyle...

— A jak się w twierdzy mają?... zapytał jeden.

— Zdrowi, kazali się kłaniać...

Sadowili się przybyli, grzeli się, rozcierali ręce, tupali nogami, szron z płaszców otrząsali i po kilku

minutach zamieszania, spokój dawny i porządek na nowo powrócił. Do komina dołożono świeżych drew, znowu Józef na dawnym usiadł miejscu i zakurzył fajkę, zabierał się do dalszego ciągu opowiadania.

— Na czym ja stanął?... zapytał.

— Na tém, że pannę Paulinę otoczyły istoty zwierzęce... odparł jeden.

— Jaką pannę Paulinę i jakie istoty zwierzęce?... zapytał jeden z przybyłych.

— Istotami zwierzęcymi przezwali Józef paniczów wielkiego świata... dał ktoś odpowiedź, a panną Pauliną nazywała się, póki była panną, baronowa Ludwika Rubnicka.

— Aha... już wiem... odpowiedział pytający. Cóż dalej?... Cóż panna Paulina z niemi robiła?...

— Słuchaj, to się dowiesz...

Józef chrząknął i tak rzecz prowadził:

— Biedna dziewczyna była z razu olśniona.

Może wy o tém nie wiecie, to wiedźcie, że salony ogromnie rozwijają popędy zwierzęce, dla tego już samego, że w nich króluje próżniactwo. Weźcie wszystkich złotych młodzieńców: co jej w głowie?... Pod maską przyzwyczajonych form, wre w niej krew, póki wrzecie może, póki nie wykipi, nie wypryska i nie zostawi po sobie na czerwono zafarbowanych, zatrutych mętów. Zostaje w końcu tylko to, czém się skorupka za młodu napila, to jest zepsucie, które najczęściej towarzyszy ich życiu aż do grobu, a poza grobem pamięć ich obrzuca pogardą.

Skapawszy się w atmosferze salonów, panna Paulina odczuła na sobie działanie otaczającego ją towarzystwa. Inaczej być nie mogło. I najmniejszej nie ulega wątpliwości, że od razu i bez namysłu poszłaby drogą córek i synów hrabiny Zduńskiej, gdyby nie odzywały się w niej pozostałości domowego, wiejskiego wychowania, skutkiem którego czuła w piersi bicie ludzkiego serca, różniące się tém od zwierzęcego, że potrzeba mu trwałego, rozumnego i pod moralnym względem wzajemnie harmonijnego społeczeństwa.

Takiego społeczeństwa nie mogła się Paulina doszukać w salonowym tłumie. Błyskało jej ono tu i owdzie, ale jak błędny na bagniskach ogień. Długo szukała nadaremnie, aż wszedł na salony hrabiny młody jeden człowiek.

(Tu spuścił Józef głowę i milczał przez chwilę).

Młody ten człowiek, mówił dalej, niewiele może być wart pod rozumowym względem, bo nie strawił młodości na naukach. Ot, hulał. Zostawili mu rodzice majątek, niewielki ale czysty, i on używał. Jedyną jego zaletą było serce, które kochał kraj. W imię tej miłości można go było zakłąć, i on gotów był na wszystko; w imię tej miłości i on umiał zaklinać, zwłaszcza niezspsute serca i zdrowe umysły.

Serce panny Pauliny nie było jeszcze z gruntu zepsute, a umysł jej krzepił się resztkami zdrowia. Trzeba było aby ktoś przyszedł do niej, wziął ją za rękę, podniósł i zakławszy, powiedział: wstań i chodź! Ona mogła jeszcze wstać i chodzić.

Młody człowiek przyszedł, wziął ją za rękę i zakłął:

— W imię naszej świętości!...

Paulina wyprostowała się przed tłumem. Nogą łeb salonowego węża zdeptała i od razu stanęła na piedestału dziewicy-obywatelki. Tłumowi w oczy cisnęła wyrazem wzgardy i dostało się od niej wszystkim od razu: ekscelencyom, hofratom, frajherom, *chevalier*om i hrabinie. Tę zmianę sprawił w niej młody człowiek. (Tu znów Józef zamilkł).

— Cóż to był za jeden?... ozwał się ktoś zapytaniem.

— Radziłyśmy dowiedzieć się o jego imieniu, nazwisku, a nawet o herbie, i o tém, kto go rodzi... dodał inny.

— Na imię było mu Jakub... odparł Józef, a nazwisko...

I myślał, jakby sobie przypominał. A po chwili rzekł:

— El co tam po nazwisku... Dajmy na to że zapomnieliśmy jak on się nazywał. To jednakże powiedzieć muszę, że rodem nie ustępował ani hrabinie, ani żadnemu z jej gości, a pomimo to na salonach lwowskich uchodził za plebejusza. Działo się to z tego powodu, że niemodnie się odzywał. Nie umiał prowadzić dyskursów o niczym, ale, niby Filip z konopi, wyrwał się z jakimiś obowiązkami, z jakimiś nudziarstwami, niestrawnymi dla złotej młodzieży tego co hrabina kroju, niemilemi dla poważnych mężów i matron, nie zabawnymi dla młodych pań i panien na wydaniu. Porzuciłby on był te salony natychmiast po pierwszym do nich zajrzeniu, bo mu w nich było i niesmacznie i niewygodnie, i czuł na sobie ciężar ukośnych, przez ramiona rzuconych spojrzeń, a z drugiej strony czuł całą swoją ludzką nad tą urzędowo-salonową menażeryą wyższość, — porzuciłby, powiadam, te salony, gdyby nie Paulina.

Jakub i Paulina zrozumieli się. On rozbudził w niej

podzwieki dziecinnych, z pod wiejskiej strzechy wymienionych wspomnień. Ona rozbudziła w nim miłość i sama ją w sobie uczuła.

Jakub i Paulina pokochali się.

Nie potrzeba im było długo szukać się. Dla Jakuba nie istniał ów peryód „starania się“, przez który przebijają się kawalerowie do ręki swojej wybranej. On nie starał się, nie konkutował, chociaż do licha było spółubiegających się, i to takich, że pod względem zewnętrzności musiał im ustępować. Pomiedzy tymi konkurentami było kilku takich, którzy szczerze zamierzali uszczęśliwić Paulinę małżeńską ze sobą spółką; było parę takich, którzy jej piękność uważali jako cyfrę w tej formule, którą wyrażała się ich karyera; było kilku takich, którzy powodowani próżnością, pożąдали tylko tak zwanej „konkiety“ nad piękną kobietą. Jakub zaś, przy pierwszym swoim zbliżeniu się do Pauliny, nie miał żadnego zamiaru, i dopiero po kilkakrotnym rozmówieniu się z nią domyślił się, że w jego i jej piersi biją bratnie serca, i domyśliwszy się, spojrział po tłumie jej wielbicieli.

— Gdzież mnie równać się z nim!... powiedział sobie, i chciał się cofnąć.

Paulina jednakże powiedziała:

— Zostań!...

Został, i przyszło mu na myśl, stanąć na równi ze spółzawodnikami.

— Powiedziałem wam, że niewiele był wart pod rozumowym względem. To się pokazało z tej myśli stanięcia na równi z salonowymi słońcami. On stał od nich o całe niebo wyżej. Oni byli małpami, on człowiekiem, jakkolwiek ułomnym i niedoskonałym, ale zawsze człowiekiem. Miałe się do nich wewnętrzną swoją wartością zniżyć? Tego Jakub nie chciał, może nie mógł; ale zachciało mu się zrównać z eleganckim światem zewnętrznością.

Zajął więc jedno z droższych i lepiej umeblowanych we Lwowie pomieszczeń, sprawił sobie wykwinną garderobę, kupił pojazd i konie, przyjął służących i począł się ruinować.

Dlaczego on to robił? on sam o tém dobrze nie wiedział. Bo Paulina tego nie wymagała. Ona go pokochała, kiedy stał pod „Tygrysem“, chodząc po Lwowie piechotą i występował w przeszłorocznym fraku. Nie można jednakże nieprzyznać, że poglaskało to jej miłość własną, gdy swego Jakuba ujrzała w niczym nie ustępującym najjaśniejszemu z panów wielkiego świata. Nie dziwić się jej. Ona nie wiedziała do czego ta wystawność wioskowego szlachcica prowadzi. On zaś, pożyczając a pożyczając na wysokie procenta, myślał sobie:

— Moja Paulina tego warta... To anioł, nie kobieta!...

Jakub był pijany miłością, która niebawem stała się znaną całemu Lwowi.

Wiedziała o niej i hrabina, i niczy przeciwko niej nie miała, gdyby Jakub, pewnego pięknego poranku, nie oświadczył się o rękę jej kuzynki.

— Pan chcesz się żenić z Pauliną?... zapytała, jakby nie dosłyszawszy ognistej i wymownej Jakuba przemowy.

— Pan!... to jedyne moje życzenie... odparł, nieco zmieszawszy się, zapytany.

— Proszę!... rzekła hrabina. Nie spodziewałam się aby rzecz mogła zajść tak daleko!...

— Pan! w tém widzę całe moje szczęście, i zdaje mi się, że panna Paulina... nie jest przeciwną!...

— Tu o nią nie chodzi!... odrzekła hrabina.

— Panny Pauliny serce!...

— Serce!... przerwała hrabina. Rzecz o sercach traktuje się w książkowych romansach. Pan musisz o tém wiedzieć, pan, co tak często o książkach wspominaś!... W rzeczywistości inaczej trochę ta się rzecz przedstawia!... Pan sam widzisz, że Paulina ma licznych konkurentów i jest w stanie świetną zrobić karierę!... Ona, panią uboga!... ona powinna korzystać z następczącej się sposobności!... Samo jej wychowanie tego wymaga!...

W tym guście długo hrabina mówiła, tém swobodniej, że Jakub milczał, a milczał i ugiął się, jakby go jakiś olbrzymi przysięgnął ciężar. Wziął kapelus, skłonił się hrabinie, wybiegł, wskoczył do pojazdu, i kazał wieźć siebie do Winnik. W Winnikach wysiadł, poszedł w las i długo błądził po lesie, oburzając się z razu na rozmowę z hrabiną, a potem zastanawiając się nad nią krytycznie.

Tymczasem i Paulina miała się nad czém zastanawiać. Hrabina bowiem, natychmiast po odejściu Jakuba, zawołała ją do siebie, i taką z nią miała rozmowę.

— Był tu, duszo kochana (hrabina „duszami kochanymi“ nazywała wszystkie kobiety, z którymi była poufale), był tu pan Jakub i oświadczył się o ciebie!...

Pannę Paulinę oblał rumieniec.

— Odmówiłam mu...

Paulina zbladła i drżąc poczęła. Nogi pod nią zadygotały, zrobiło się jej słabo. Postrzegłszy to, hrabina pokazała jej krzesło obok siebie.

— Usiądź, duszo kochana... Widzisz, jestem w wieku i mam doświadczenie... Pan Jakub do romansu jest doskonały, niebrzydki, otwarty, *chevaleresque*, zastawił dziedziczną wioskę dla podobania się tobie... ale on nie na męża dla ciebie... Ty uboga i on ubogi... Miłość, duszo kochana, o głodzie bardzo jest smutną... W naszym wieku nie jest ona koniecznym do zawarcia szluby małżeńskich warunkiem... Nasz wiek nie jest sielankowym... Trzeba się do ducha wieku stosować, a kto się nie stosuje, ten dziwaczny, okrywa się śmiesznością, naraża się na to, że go będą palcami wytykać... I wytkniętoby, duszo kochana, palcami ciebie i mnie, gdybyśmy pana Jakuba przeniosły nad świetne partye, jakie ci się nastroją... Dlatego, duszo kochana, odmówiłam wręcz panu Jakubowi, i przedstawiłam mu całą niestosowność jego *demarszu*...

Paulina płakała. Hrabina milczała przez chwilę, a potem znów mówiła:

— Muszę ci jeszcze, duszo kochana, szczerze powiedzieć, że ten pan Jakub kompromituje ciebie... Ruinuje się dla ciebie, jak dla baletniczki, i tego tylko braknie, aby ci jeszcze prezenta dawał...

Znów pomilczała przez chwilę, a nie widząc żeby sie Paulina w płaczu utuliła, dalej ciągnęła:

— Duszo kochana, ja do twego rozsądku, jako zastępująca ci matkę, przemawiam... Wiem ja co młodym pannom roi się po głowie, bo sama byłam młodą i panną; ale znam na to lekarstwo, które i tobie poradzę... Pójdź uklęknij i pomódl się...

— Ach!... ciociu!... wyłkała Paulina. Ja się teraz modlić nie potrafię.

— Co?... jakto?... zawołała z oburzeniem hrabina. Czy to taki ma być skutek tej nieszczernej miłości?... Domyslałam się że pan Jakub należy do gatunku takich, co to Pana Boga znać nie chcą; widziałam to z jego zachowania się względem ludzi pobożnych; ale nie spodziewałam się, aby już i w ciebie bezbożność zdołał wmówić... Idź! nie chcę cię widzieć, aż się nawrócisz...

Tak schłostana miłość, zachwiała się, ale nie upadła. Jakub nie mógł już być w domu hrabiny, starał się jednakże komunikować z Pauliną sposobem przekradanym. Napisał do niej, ona mu odpisała. Jakuba list był zapytaniem: „czy mnie kochasz jeszcze?” Pauliny list był odpowiedzią: „kocham i kochać będę do śmierci... Przy końcu było jednak „ale“.

— „Ale, pisała, mój drogi, mój miły, musimy zrobić z naszej miłości ofiarę... bo Bóg jej nie chce“...

Jakub osłupiał na to „Bóg jej nie chce“ i zębami zgrzytał, włosy rwał, bo poznał w tym wyrazie skutek namowy.

Napisał znów. Dał żalowi wolę i przekleństwa ob-

rzucił hipokrytów, dowodząc zarazem że Bóg takiej ofiary nie wymaga ani potrzebuje.

Odpowiedź Pauliny brzmiała dosłownie:

— „Kocham ciebie... Będę się za ciebie modliła... Twoja... P...“

Jakub jeszcze raz napisał, prosił, błagał, zaklinał, przypominał rozmowy, opisywał stan swojej duszy z rozpaczą graniczącą.

Tym razem odebrał od Pauliny długą, kilkoćwiartkową, bitym charakterem pisaną odpowiedź, nakreśloną snadź nie od razu, w której kochanka malowała mu swoje uczucie i obiecywała kochać go do śmierci, czyby się z nim złączyła, czy nie. Pisała: „My już, mój drogi, sercami związani. Usymbolizujemy nasz związek. Kazałam jubilerowi zrobić pierścionek i wyrzucić na nim dwa imiona, twoje i moje. Każ i ty zrobić pierścionek i zamieniamy się.

(Tu Godfryd zaśmiał się. Józef nie zważał na to).

„Jakbykolwiek, ciągnął Józef, recytując z pamięci, los zarządził nami, będziemy się kochać. O! bo ja tobie wierzę i nie wątpię, że ty wierzysz mnie. I będziemy nosić nasze pierścionki, nasze drogie pamiątki. Chciałam inną wymyślić pamiątkę, ale ta wydaje się mi najtrwalszą. Ta zawsze będzie przy mnie i ze mną, zawsze będę mogła patrzeć na nią.“

Jakub kazał zrobić pierścionek, posłał go i przytęm znów napisał. W odpowiedzi otrzymał długi list i pierścionek. Takimi były ich zaręczyny.

Wkrótce potem dłużnicy nacisnęli Jakuba: musiał się wyprzedać i Lwów opuścić. Nie ustała jednakże korespondencyja pomiędzy nim a Pauliną.

Paulina uwiadamiła go regularnie o różnych tentacyach ze strony ciotki, ściągających się do małżeństwa. Powtarzała mu rozmowy z hrabiną, zdania tej ostatniej i swoje odpowiedzi. Hrabina ciągle, jako warunek *sine qua non*, stawiała majątek. Paulina ciągle jako warunek stawiała miłość kraju. Tego warunku nauczył ją Jakub, i pomimo całej dyalektyki, nie mogła go przełamać ciotka, ani jej sojusznicy. Tak się przynajmniej z listów Pauliny pokazywało. Jakub utwierdzał ją w tém.

Z jej listów pokazywało się także, iż hrabina wszelkich dokładała usilności, aby ją wydać za mąż. Paulina opierała się, odbijając się warunkami, i przyszło w końcu do tego, że musiła słuchać wymówek za łaski i dobrodziejstwa, jakich od ciotki doznała.

— „Mój drogi, pisała, wzmacniaj mnie, bo łamię się. Ciotka wyrzuca mi niewdzięczność. Ach! ja nie szczęśliwa!...“

Jakub, w chwili właśnie otrzymania tego listu, wybierał się z wioski rodzinnej, która sprzedana została przez licytację. Miał się jednakże za bogatego, bo posiadał serce Pauliny. Uwiadomił więc ją o ciosie jaki go spotkał i tonem wesołym pisał: „Teraz biorę się do pracy. Będę pracował na ciebie i na siebie. Trzymajmy się. Bóg łaskaw. Mnie nadzieja przyświeca i

będzie przyświecała póty, póki będę tego przeświadczenia, żeś ty moja“...

Niedługo jednakże tego był przeświadczenia. Zaraz następny list Pauliny był krótki. Zawierał tylko tyle: „Dziś oświadczył się ciotce o mnie baron Ludwik Rubnicki, i ciotka w taki mi to sposób oznajmiła: Warunkom twoim stała się zadość. Baron kocha kraj i przytęm jest bogatym. Jako zastępczyni matki, pod błogosławieństwem oświadczam ci, że musisz iść za niego.—Boże! co ja pocznę!... Mój drogi! radz mi... Twoja do śmierci P...“

Jakub na to ani słowa nie odpisał. On znał młodego barona i znał go z dobrej strony. Z jego przekonaniem nie zgadzało się, aby go za nieprawość przodków lub za niskie pochodzenie czynić odpowiedzialnym. Baron Ludwik, chociaż, jak powiadają, „prochu nie wymyślił“, ale zawsze więcej był wart od całego tego towarzystwa, które na salonach hrabiny bywało, od wszystkich potomków znakomitych niemieckich i polskich rodzin, którzy Paulinę otaczali. Trochę zawadyka, książek nie czytywał, ale niezłym był Polakiem. Pod względem wykształcenia umysłowego, pomimo wszelkich niedostatków, Jakub czuł się od niego daleko wyższym; pod względem wszelako serca, niewielka pomiędzy nimi zachodziła różnica.

Zgrzył ten list Jakuba do żywego.

— Ha!... pomyślał sobie. Gdybym był we Lwowie, tobym go wyzwał; ale tak zdaleka, listownie, nie mogę mu butów szyc...

— I nie mam prawa, dodał po chwili, bo wówczas dopiero przyszło mu po raz pierwszy na myśl strwożenie majątku najniepotrzebniej w świecie.

Więc nie odpisywał Paulinie. Gryzł się jednakże i rozpaczał.

Wątpię bardzo, aby mąż, któremu odmawiają żonę, mógł tak rozpaczać. Jakieś niewyraźne pragnienie męczyło go. Próbował gasić je trunkiem i zachorował. Powstawszy z choroby, czuł jakiś pociąg do samobójstwa. Napadła go hipokondrya. Uciekał od ludzi, głodził się, mizerniał, aż spadł na niego cios stanowczy, a ten cios spadł w postaci ostatniego od Pauliny listu.

„Mój drogi, pisała. Idę za mąż. Oddaję rękę, ale nie serce. Moje serce jest i będzie twoją własnością. Oświadczyłam to baronowi wyraźnie. Moja droga pamiątka, pierścionek od ciebie, nie opuści mnie nigdy. Bądź zdrow, mój drogi, mój kochany! Twoja do śmierci, Paulina.“

Na tym jednym liście Paulina podpisała się wszystkimi literami.

Jakub spalił wszystkie jej listy, tylko ten jedyny, ostatni zostawił. I pozostał pomiędzy nimi na zawsze ten stosunek moralnego małżeństwa. Jakub jest mu wiernym i baronowa jest wierna, i wszystko to nieprawda, cokolwiek o niej ludzie gadają, bo ja ją znam i Jakuba znam. (Dokończenie nastąpi).

Księgarnia i skład nut muzycznych

G. GEBETHNERA I R. WOLFFA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, pałac hr. St. Potockiego Nr. 415, otrzymała następujące nowości:

Jakubowski L. Zasady gospodarstwa społecznego. Cena kop. 90. — Piotrowski, Pamiętnik Wawrzyńca Rakowskiego pisany od roku 1701 do roku 1711. Cena kop. 60. — Grabowski M., Opowiadania Kurennego powieść. Cena kop. 75. — Belke G., O owadach szkodliwych gospodarstwu wiejskiemu i o sposobach ustrzeżenia się od nich, lub zmniejszenia ich liczby. Cena Rsr. 1 kop. 45. — Groza A., Trzy powieści. Cena kop. 86. — Groza, Smieciński, powieść szlachetko ukraińska. Cena rs. 1 kop. 50. — Elementarz większy z tablicą figur geometrycznych i z rycinami do historii naturalnej przez A. G. Cena kop. 75. — Biblioteka, Podarek dla dorastającej młodzieży, tom I; Prawda i fałsz powieść; Próżność ukarana. Cena kop. 52 i pół. — Tom II Betty i Toms powieść; Bliźnięta powieść; Wujaszek dziwak. Cena kop. 90. — Woźnica S. P., Mowy pogrzebowe i Homilie. Cena kop. 90. — Wernonty Alfons Dr. Historia literatury francuskiej, zeszyt I z prenumeratą na całe dzieło. Cena rs. 3.

Nakładem tejże księgarni wyszedł

WIENIEC CIERNIOWY,

Marsz żałobny na fortepian, kompozycji Józefa Nowakowskiego i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Cena złp. 3.

Śpiewy kościelne i religijne, wydane nakładem powyższej księgarni i składu nut muzycznych: Nowakowski J., Hymn do Boga, śpiew

z towarzyszeniem fortepianu lub organów. Cena złp. 2. — Wzniesienie myśli do Boga, z towarzyszeniem fortepianu lub organu. Cena złp. 2. — Ave Maria, z towarzyszeniem fortepianu, organu lub fisharmoniki. Cena złp. 3. — Arya Stradelli, modlitwa z towarzyszeniem fortepianu lub melodykonu. Cena złp. 3. — Elsner, Ave Maria na sopran, alt, tenor i bas. Cena złp. 1 gr. 15. — Nidecki, Salve Regina na 4 głosy męskie. Cena złp. 1. — Studziński, modlitwa do Matki Boskiej, śpiew z towarzyszeniem fortepianu. Cena złp. 1 gr. 15.

KSIEGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła Ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła: Historia literatury francuskiej, napisał Dr. Alfons Wernonty, zeszyt I z przedpłatą na 4 zeszyty. Cena rs. 3. — Myśli o nauce obcych języków, z dodaniem krótkiej metody uczenia się praktycznego, spisał Maryan Chyliński, 8ka. Cena rs. 1 kop. 20. — Taras Szewczenko, studium przez Leonarda Sowińskiego, z dołączeniem przekładu Hajdamaków, 16ka, Wilno 1861. Cena rs. 1. — Torquato Tasso, dramat w 5ciu aktach Goethego, przełożył Ludwik Jenike, 16ka. Cena kop. 75. — Drobnostki poetyczne Hieronima Feldmanowskiego, 8ka, Poznań 1861 r. Cena kop. 70. — Jana Pawła Woronicy, Mowy pogrzebowe i Homilie, dotąd drukiem nie ogłoszone, z własnoręcznych pier-

wotworów autora zebrane. 12ka, Kraków 1851 r. Cena kop. 90. — O owadach szkodliwych gospodarstwu wiejskiemu i o sposobach ustrzeżenia się od nich lub zmniejszenia ich liczby, napisał Gustaw Belkie, z 3ma tablicami owadów, 16ka, Żytomierz 1861 r. Cena rs. 1 kop. 45. — Zasady gospodarstwa społecznego przez Leopolda Jakubowskiego, 16ka, Żytomierz 1861 r. Cena kop. 90.

Nakładem

KSIEGARNI [KRAJOWEJ I ZAGRANICZNEJ

J. J. OKOŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

wyszedł 7 zeszyt Obrazu historii powszechnej, od najdawniejszych do najnowszych czasów, z niemieckiego przerobił L. Rogalski, wydanie drugie, poprawne i do r. 1860 doprowadzone. Prenumerata na 10 zeszytów oznacza się na rs. 4 kop. 50, dla opłacających z góry; zaś rs. 5 dla upłacających częściowo, to jest przy pierwszym zeszycie rs. 1, a przy następnych po kop. 50, tak, że ostatni zeszyt 10, wydany zostanie bezpłatnie. Osoby prenumerujące na urzędach i stacjach pocztowych, dopłacają rs. 1 na kosztą przesyłki.

SKŁAD CYGAR

BERNARDA BARUCH

HAWANA I HAMBURG.

Interesowanym udzielam na żądanie cenniki, oraz komunikuję im za przesłaniem 6 talarów do Hamburga, próby najlepszych cygar w 10 gatunkach, po 10 sztuk każdy. Ręczę za rzetelną obsługę, upraszam o listy frankowane.

W ZAKŁADZIE

ARTYSTYCZNO-LITOGRAFICZNYM

A. DZWONKOWSKIEGO

i spółki,

ulica Miodowa Nr. 842 (4), odbito stary miedzioryt przedstawiający **Faryzeusza pokazującego Chrystosowi Panu monetę czynszową.** Cena złp. 2 (k. 30.)

Nakładem sztycharni nut tejże firmy wyszły następujące kompozycje węgierskie, grywane przez orkiestrę Petkiesza w Warszawie, ułożone na fortepian: 1. **Marsz Huniad'a**, cena złp. 1 (kop. 15). — 2. **Mazur Siedmiogrodzki**, cena też sama złp. 1 (kop. 15).

Nakładem tegoż zakładu artystyczno-litograficznego, wyszła chromolitografowana kopia cudownego obrazu NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY CZĘSTOCHOWSKIEJ, zdjęta na miejscu z najzupełniejszą wiernością. Obrazek ten w małym formacie (książkowym) sprzedaje się pojedynczo po gr. 20 (kop. 10). Kupujący najmniej 100 sztuk, płaci złp. 50 (rs. 7 kop. 50) za sto.